WŁADYSŁAW BIAŁY KSIĄŻE GNIEWKOWSKI.

(Dalszy ciąg.)

XV.

W pięknym dniu zimowym, w końcu miesiąca Stycznia, gdy pod wpływem ciepłych promieni słońca, pękły na rzekach lody, a z gór z szumem spływały strumienie, nie bez małego trudu przez zarośla i bezdroża, pociągał liczny hufiec zbrojny od Gniewkowa ku stronie Inowrocławia. Przed gospodą na końcu lasu, wódz obwinięty w płaszcz podszyty kunowém futrem, zsiadł z konia i skinął na towarzysza ciepłe promienie wielce dla nich pożądane były, bo wyjechawszy z Gniewkowa dość późno w dniu wczorajszym, zabłąkali się w drodze i noc całą pod odkrytém przepędzili niebem. Otrzymawszy ku temu pozwolenie wodza, insi ry-



Łodź stanęła w przystani w pobliżu murów zamczyska.

ażeby poszedł za jego przykładem, poczem udali się oba do gościnnéj izby gdzie płonęło ognisko.

— Wyszoto, jak myślisz, czy nie lepiéj zrobiemy, jeżeli zaczekamy tutaj na szpiegów, którzy wkrótce powinni wrócić z językiem? zapytał pierwszy.

— Zapewne, odparł drugi, że wypada zaczekać na nich, bo możemy ominąć wrogów, którzy nienapotkawszy przeszkody gotowi napaść na Złotorję. Mówiąc to zasiedli na ławie, naprzeciw dużego ogniska, którego cerze pozsiadali równie z koni i szukali przytułku bądź w gospodzie, bądź w przyległych chatach które w nieznacznem oddaleniu stały pod lasem. Wódz i rycerz zwany Wyszotą, siedzieli chwil kilka w zadumaniu; poczem pierwszy pochyliwszy głowę i wyciągnąwszy ręce ku stronie płomienia, ozwał się znów wolnym, poważnym głosem:

— Mam jakieś przeczucie że niepowiedzie się nam ta wyprawa, dzień wczorajszy źle nam wróży, bo na prostéj zabłąka-

liśmy się drodze, jakby nam nagle szatan rzucił bielmo na oczy.

— I ja również lękam się czegoś złego książe, bo miałem sen dziwnie przykry onegdajszéj nocy, niewspominałem o tém dotąd, nie chcąc wam odejmować serca, ale kiedy sami napomykacie o złéj wróżbie, opowiem to co widziałem we śnie jak na jawie: Zdało mi się, jakbym w ciemnéj leżał jaskini z powiązanemi rękami, a nogi miałem również spętane, bo ruszyć się nie mogłem z miejsca; dochodził do moich uszów gwar tysiąca głosów i szczęk mieczów, serce rwało się do bitwy, ale próżne były usiłowania, bo pęta przykuły mię do ziemi; długo, bardzo długo w owéj smutnéj znajdowałem się przygodzie, co prędzéj czy późniéj wróży mi pono więzienie. Późniéj stałem znów niby w ogrodzie wonnym kwiatami, w którym dwie jeno wystrzeliły latorośle, a każdą z nich otaczali rycerze, którzy nagle odskoczyli na stronę, a rozdzieliwszy się na dwa obozy krwawą rozpoczęli walkę, ja też stanąłem po jednéj stronie i jak lew walczyłem zapamiętale, wiele było boleści i jęku i wiele krwi przelanéj, aż nagle rycerz obcy na koniu ze zniżoną włócznią w bystrym jak wicher biegu przerzyna dwa wrogie obozy i staje obok latorośli, na któréj wierzchołku wykwitła biała lilija.... dziwny to sen zaprawdę! skoro wszystkich rycerzy ku stronie owego drzewka i obcego gońca skierowały się oczy, bój ustał, ucichła wrzawa, zapaśnicy podają ręce i niby świeżo zaślubioną parę żywym otaczają wieńcem, napróżno usiłowałbym dochodzić znaczenia tego, lecz pierwsze marzenie niepokoi mię srodze, bo tu ciemna jaskinia i więzy złą bez wątpienia są wróżbą.

— Minęły czasy, gdy zła wróżba miecz mi wytrącała z ręki, Wyszoto! kończyć muszę rozpoczęte dzieło, chociażbym niezawodną widział przegranę.

— Dzielny z was gracz książe! obym mógł do końca dzielić z wami losy; odparł smutnie Wyszota z Kurnika.

W téj chwili wszedł pachołek z oznajmieniem że ludzie wysłani na zwiady wrócili z wieścią jako wytropili ślad wroga i proszą o posłuchanie. Władysław kazał przyprowadzić ich natychmiast i wezwał zarazem dowódzcę gniewkowskiego oddziału, ażeby stawił się przed nim. Wkrótce wszedł wysokiego wzrostu młody rycerz Zbigniew, a za nim gońce czyli szpiegi, z których jeden odpowiadał na zapytania księcia.

— Daleko jest hufiec Jaśka Kmity starosty nakielskiego?

— Dąży za wami miłościwy panie, ale znajduje się pono jeszcze po tamtéj stronie lasu.

— Czy Bartosz starosta brzeski nie połączył się z nim dotąd?

— Nie, ale prawią ludzie że już wyciągnął z Brześcia.

— Jakiéj jest siły hufiec Kmity?

— Nie mogliśmy sprawdzić dokładnie, ale nie więcéj pono jak dwieście ma ludzi.

— Czy nic nadto nie dowiedzieliście się w drodze?

— Owszem, rzekł szpieg z uśmiechem, napotkaliśmy w lesie, nie daléj jak o trzysta ztąd kroków, pachołków starosty Kmity i wozy jego różnemi naładowane sprzętami; nie prędko wyjadą z lasu bo koła zatonęły w błocie i muszą wyciągać je drągami.

— Wozy i sprzęty Jaśka Kmity... dobrą wieść przynosicie łotry!

Potem zwracając się do Zbigniewa rzekł książe: Wybierz natychmiast kilkunastu ludzi, niech dopomogą do wyciągnięcia z błota tych wozów, a sam dopilnuj tego Zbigniewie i zdobycz przyprowadź tutaj; my tymczasem z Wyszotą sprawiemy hufce do boju, oczekując na spotkanie nakielskiego starosty, który za naszym idąc śladem ukaże się pewnie niezadługo.

Wyszedł Zbigniew ze szpiegami, którzy doprowadzić go mieli do oznaczonego miejsca. Książe i Wyszota pozostali a przypasawszy śpiesznie zbroje wybiegli z gospody i kazali trębaczowi dać hasło, jakoż na odgłos trąby wkrótce zebrali się wojownicy. Policzywszy swój hufiec książe rozdzielił go na trzy oddziały; dowództwo prawego skrzydła oddał Wyszocie, lewe z mieszczan gniewkowskich złożone zostawił Zbigniewowi, sam zaś zajął środek na czele głównéj siły. Zaledwie uszykowało się rycerstwo przed gospodą, nadjechały cztery wozy Jaśka Kmity; zdobycz była znaczna, pomiędzy sprzętami znajdowała

się ciężka szkatuła z pieniędzmi, tę natychmiast kazał odbić Władysław, wyjął brzęczącą monetę i rozdał pomiędzy rycerstwo; toż samo uczynił i z różnym wojennym przyborem, którym udarował zasłużeńszych ochotników, resztę zaś skarbów odesłał pod strażą do Gniewkowa. W porę uszykowano hufce, bo wkrótce wypłynął z lasu na koniach zbrojny zastęp Jaśka Kmity. Naprzód! zawołał grzmiącym głosem Władysław Biały i z mieczem w ręku wyskoczył na czarnym koniu. Na rozkaz wodza zagrzmiały trąby, zwarły się szeregi i z trzech stron natarli ochotnicy na nieprzyjaciela. Widocznie starosta nakielski nie spodziewał się tak śmiałego napadu, bo wojownicy jego cofnęli się do lasu, ale książe posuwał się ciągle naprzód i stanął dopiero w zaroślach. Może tylko Kmita chciał wygrać na czasie, bo w pół godziny ukazał się nowy hufiec i wpadł na zastępy gniewkowian; rozpoczął się wtedy bój krwawy z téj i z owéj strony łamały się kopije a ogromne koncerze ciężkie zadawały ciosy, rycerze padali z jękiem pod kopyta koni, lub z nogą uwikłaną w strzemiona tarzali się po ziemi tratowani podkowami; na twardéj zbroi dzwoniły miecze i wężownice. Długo ze stron obydwóch z równą walczono zaciętością, ale hufce księcia były nierównie liczniejsze, a Wyszota z Kurnika chcąc cios stanowczy zadać Kmicie, cofnął się paręset kroków ze swoim oddziałem i kazał łucznikom razić nieprzyjaciela strzałami z boku. Zwycięztwo chyliło się na korzyść Gniewkowskiego księcia i byłby wkrótce zgromił wroga, kiedy nagle okrzyk zgrozy rozległ się w jego szeregach; słyszy to wódz i ze złamanym szyszakiem, z mieczem podniesionym sadzi ku stronie wzgórza by przekonać się jaki powód tak nagłéj trwogi. Stanąwszy na wyniosłém miejscu widzi świeże a liczne zastępy jak wychodzą z lasu i otaczają w oka mgnieniu szczupły oddział Wyszoty, więc biegnie żywo wzywając wojowników, ażeby pośpieszyli na pomoc lewego skrzydła. Odważniejsi usłuchali głosu wodza i poskoczyli za nim, ale już było za późno. Wyszota obsaczony niespodzianie bił się jak lew z przeważającą siłą, ale ranny upadł na ziemię i dostał się w ręce wroga, tenże sam los wkrótce i drugich był udziałem. Bartosz z Więcborga, rycerz mężny i doświadczony w boju, przybył w porę z pomocą Kmicie i przeważył wygraną na jego stronę. Mimo widocznéj klęski długo Władysław nie chciał ustąpić z pola, zbierał rozproszonych wojowników zagrzewał ich słowem i czynem, bo walczył sam za dziesięciu, jak gdyby rozpacz dodawała mu siły, ale szczupły zastęp mężnych ochotników przerzedzał się ciągle; wielu już poległo a bardzo wielu ratowało się ucieczką. Starosta Bartosz i Jaśko Kmita usiłowali żywcem pojmać księcia, wydali zatém rozkaz ażeby go oszczędzać w boju; zamiar ten może doprowadziliby do skutku, ale Zbigniew który nieodstępował go w téj złowrogiéj chwili, widząc że upór jest wynikiem nierozmyślnego szału, pochwycił silną dłonią cugle książęcego rumaka i uprowadził go przez gęste zarośla; trzech jeno z całego orszaku towarzyszyło im w téj ucieczce, reszta bowiem rozproszyła się w różne strony.

Słońce zapadło i w szarym płaszczu wieczora drzemały już wzgórza, skoro zbiegli przed pogonią rycerze stanęli w Nieszawie; zmęczone konie całodziennym trudem nie zdolne do dalszéj były podróży, kiedy więc hufce Kmity i Bartosza na chwytaniu zbiegłych i poszukiwaniu Władysława Białego daremnie czas trawią, on zajmuje łódkę rybacką i téjże saméj nocy wraz z towarzyszami swemi puszcza się po Wiśle do Złotorji. Wody wezbrały ogromnie a tu i owdzie wystąpiły z koryta i nakształt obszernych jezior zalegały równiny.

Z rękami na krzyż, z głową zwieszoną siedział Władysław w łodzi, a zgroza, walka, nienawiść, to znów miłość namiętna i niby żal po utraconém szczęściu, najsprzeczniejsze słowem uczucia przeszywały jego serce i równie jak fale poruszeniami łodzi miotały nim w różne strony, raz wynosząc nad poziom, to znów zanurzając go w otchłani. Milczący a wybledli płynęli po bystréj toni rycerze, podobni więcéj do duchów niż do żyjących istot. Promienie księżyca okolając łódź strugą świetlaną, olśniewały ich lica i zbroje niby aureolą promienną, która ślizgała

przed niemi. A cudny kraj po obu brzegach Wisły, gęste bory i ciemne wzgórza, we wstecznym zdały się pędzić kierunku, jak gdyby cofały się przed ich wzrokiem. Żeglowali tak noc całą, a gdy zaświtał dzionek i wschód rumianą zapłonił jutrzenką, co drżąca a wstydliwa przejrzała się w wód zwierciadle, książe pogrążony był w śnie ciężkim, z którego zbudził go nagle okrzyk: Złotorja! i łódź stanęła w przystani w pobliżu murów zamczyska.

XVI.

Od kilku dni w losie Anny smutna nastąpiła zmiana; dopóki bowiem rodzina Krystyna pozostawała w Złotorji, z dozwolenia księcia, córka Wedela, odwiedzała codziennie wieczorem najdroższe przyjaciołki i towarzyszki więzienia, ale skoro Krystyn uwolnił się wraz z żoną i córką z przemocy Władysława, ujrzała się w jednéj chwili osierocona, z jedną tylko służebnicą starą Małgorzatą, która miasto ją pocieszać, najokropniejsze często przynosiła wieści o groźnych zamiarach księcia i okrucieństwach Jurki, na którego wspomnienie serce dziewki niewymowną drżało trwogą. Oprócz Małgorzaty miała Anna codziennego gościa w Hance, który jako stróż odwiedzał ją każdego wieczora i rana; chytry wyraz oblicza młynarza nie budził w niéj zaufania, z początku nawet nieprzezwyciężoną czuła ku niemu odrazę ale siła nawyknienia zacierała pierwsze wrażenia, a ujrzawszy się w końcu opuszczoną przez wszystkich, zwróciła się ku niemu, jako ku jedynéj łodzi, która ją mogła unieść i ocalić w burzy. Tego samego poranku, w którym Gniewkowski książe przybył do Złotorji ocalony prawie cudem, Anna odmówiwszy ranne pacierze, stała oparta na krawędzi okna, smutném wodząc okiem po nadwiślańskiéj okolicy, wszedł Hanko i zatrzymał się na progu, nie śmiąc przerywać jéj zadumy, ale dziewica usłyszawszy szelest odwróciła się ku niemu pytając niespokojnie: jakie wieści przynosisz mi Hanko?

— Źle coś słychać w Złotorji, książe z czterema jeno ludźmi powrócił z wyprawy, szyderczo odparł młynarz.

— Jakto?

— Tak, mówią wszyscy że cały hufiec jego zbity i rozproszony, on sam ledwie ocalił życie; skoro na łódce przypłynął równo ze świtem widziałem go, był wielce utrudzony i niespokojny, zawołał zaraz Jurkę i innych dowódzców, a zamknąwszy się z niemi w komnacie, długo rozmawiał, potém mnie wezwał i polecił ażebym ponaprawiał machiny wojenne, które wkrótce potrzebne mu będą, z czego miarkuję że nie traci serca i do drugiéj gotuje się wyprawy.

— Hanko! zawołała składając ręce ze łzami w oczach Anna, przez wszystkich jestem dziś opuszczoną, a książe Władysław roztargniony rycerską sprawą pono zapomniał o mnie i więcéj obchodzi go sława niż biedna dziewka, która nigdy jego nie zostanie żoną; od czasu mego uwięzienia niebyło sposobniejszéj pory do ucieczki... Dopomóż mi do wydostania się z murów tego zamczyska, a ojciec mój obdarzy cię nagrodą jakiéj sam zażądasz.

— Myślicie że książe Gniewkowski zapomniał o was miła panno? nie, nie zwódźcie się napróżno, pytał mnie często o was i rozkazał strzedz jak oka wgłowie, a srogą zagroził karą na wypadek zdrady...

—Mniejsza już czy pamięta o mnie lub nie, ale wiem że możesz mi dopomódz jeżeli zechcesz; dam wszystkie perły i złoto które mi ojciec zostawił, tą ofiarą uśpiemy czynność straży... O! Hanko, zlituj się nad losem sieroty.

— Nie miła panno, dziś nie pora wcale, może przyjdzie czas, w którym będę ci mógł dopomódz... skoro sam zostanę wolny.

— Zawsze tę jedną dajesz mi odpowiedź, powiedz raczéj że nic zrobić dla mnie nie chcesz i że masz serce jak głazy twarde.

—Czy dla tego że jestem ostrożny? raczéj wy podejść mię chcecie, ale nie jestem tak w ciemię bity, ani tak młody, bym dla jednego słowa białogłowy miał oddać żywot mój na męki, widziałem niedawno jak Jurko palił i katował nędznego szpiega i nie radbym był wcale być w jego miejscu.

— O Boże! więc żadnéj, żadnéj z nikąd nie mogę oczekiwać pomocy; zlituj się na-

demną Panie w téj niedoli, bo dusza moja omdlewa od wielkiéj boleści! To mówiąc padła na kolana przed krzyżem i głośno zapłakała.

Hanko patrzył ciekawie w twarz dziewicy jakby zdumiony widokiem cierpienia; poczem przyłożył palec do czoła i rzekł wolnym głosem: nie, jeszcze nie pora, nic dziś zrobić nie mogę... może później.... jeżeli sposobność się wydarzy.

Skoro wyszedł z komnaty spotkał się z księciem, który zapytał go żywo: co porabia Anna?

—Smutna i płacze ciągle po ojcu i krewnych.

— Czy o nikim więcéj nie wspomina.

— Owszem prawi często o Bartoszu staroście brzeskim, ale najwięcéj tęschni po odjeździe żony i córy Krystyna, powtarzając że jest teraz najnędzniejszą opuszczoną sierotą.

— Czy nie narzeka na mnie?

— Nie, nie, jeno słyszałem jako modli się gorąco, ażebyście ją uwolnili...

— Miej pieczę o niéj, a powiedz że przesyłam jéj pozdrowienie.

Długo potem, chodził z założonemi na piersiach rękami i niby z samym sobą tocząc rozmowę, głośno przerywane wymawiał wyrazy: nie czas jéj teraz niepokoić, niech wypłacze się miła dziewka... wszystko zmienia się na świecie, czemużby jeno serce białogłowy miało być niezmienne? Znów przechadzał się w milczeniu wielkiemi krokami około muru, na którym niezgrabnie wyciosane z kamienia postacie rycerzy bój toczyły zawzięty, a przypatrując się im z blizka rzekł z westchnieniem: cóżbym dał za to ażebym mógł kopiją złożyć się z tobą Bartoszu! ty mi wydarłeś wczoraj zwycięztwo, ty wszędzie w poprzek mojéj stajesz drogi; ale przysięgam, że dopóki do podźwignięcia miecza mam rękę i siłę, póty mścić się będę za wyrządzone mi krzywdy.

XVII.

Trzeci upływał miesiąc od powrotu Ulrycha do Drezdeńskiego zamku, a cudna wiosna ustroiła gaje zielonym kobiercem i łąki w różnobarwne wyszyła kwiaty. Przed kilkoma dniami odebrał hrabia list od księcia Gniewkowskiego, ale odprawił bez odpowiedzi gońca z zaręczeniem że odpisze wkrótce, skoro się porozumie z braćmi Dobrogostem i Arnoldem.

W komnacie którą opisaliśmy na początku naszego opowiadania, siedzieli trzéj bracia przy stole zajadając pieczeń dzika i popijając winem; świeżo powrócili z łowów, a po całodziennych trudach i głodzie srodze byli znużeni. Światło gorejące w świeczniku padało na ponure ich twarze, oświecając część izby któréj druga połowa pogrążona była w cieniu; z przeciwnéj strony stołu, w głębi komnaty obok filaru, rysowała się postać dziewicy, ukryta i prawie niewidzialna, szatę miała czarną, jeno światłe jéj lice wychylało się z téj nocy, niby aureola gwiazdzista.

Gdy bracia posilili się dostatecznie, Ulrych pierwszy przerwał milczenie.

— Dziwny jest ten Gniewkowski książe, łatwowierny jak dziecko, przyzywa nas do Gniewkowa, jakbyśmy nic lepszego nie mieli już do roboty.

— Czy doprawdy spodziewa się jeszcze że pośpieszymy mu z pomocą? podchwycił Dobrogost.

— Przecież mówiłem wam już o jego piśmie.

— Mówiłeś bracie, odparł Arnold, jeno dopóki nie przeczytasz, trudno uwierzyć by Władysław Biały tak oszalał zupełnie; boć gdybym nie miał żadnéj innéj roboty, wolałbym gonić dziki i jelenie, niż narażać za niego życie i mienie.

— Albo ujeżdżać rącze konie i inne wyprawiać krotochwile, z uśmiechem dodał Dobrogost.

— Póki król Ludwik żyje a stara Elżbieta rządzi w Krakowie nie zabraknie nam pono roboty, mili bracia! wykrzyknął Ulrych. Prawda że zamęt wielki a wszystko kipi jako w kotle w téj wielkopolskiéj ziemi, ale Władysław nie umie brać się do dzieła i pewnie wypędzą go po raz drugi, choć wprawdzie cieszy się teraz chudzina i nowe zyski sobie krzesze, więc wzywa nas na pomoc i przypomina dawne obietnice, jak gdybyśmy targu z nim dobili i zaprzedali mu się na wieki!

—Przeczytajcie bracie, co téż on pisze, bardzo jesteśmy ciekawi, rzekł Arnold.

Wydobył Ulrych na żądanie pismo księcia Władysława, złożył na stole i czytał:

„Zacny hrabio na Drezdenku!

Od czasu jak opuściliście Dobrzyńską ziemię, wielkie tutaj zaszły zmiany; pierwsza wyprawa na Inowrocław niepowiodła mi się wcale, spotkałem w drodze Jaśka Kmitę i pewny już byłem zwycięztwa, kiedy Bartosz z Więcborga starosta brzeski wyszedł z zasadzki i nagłém natarciem spłoszył moje hufce; po długiéj i krwawéj walce, utraciwszy najmężniejszych rycerzy, ledwo sam ocaliłem życie, za przyczyną Zbigniewa, który mię zmusił do ucieczki. Wielu mężnych obrońców poległo w téj bitwie, jeszcze więcéj dostało się do niewoli, w téj liczbie dzielny Nałęcz Wyszota z Kurnika, którego los najwięcéj mię boli. Pierwsze niepowodzenie nie osłabiło, ale owszem umocniło me serce, bo poprzysiągłem pomścić krzywdę zadaną mi przez Bartosza, który zawsze był i jest najzawziętszym z moich wrogów. Wkrótce wywiodłem w pole daleko liczniejsze hufce i poszedłem nocą pod mury Inowrocławia; na odgłos mego imienia wielu z mieszkańców tego grodu stanęło pod moją chorągwią; równo ze świtem sprawiłem szyki, wyprowadziłem tarany i otoczyłem przedmieście. Siły wrogów były liczne, starosta inowrocławski wraz z Bartoszem zamknął się w zamku, którego liczna broniła załoga; część zaś hufców starosty brzeskiego porozstawiali po domach na przedmieściu, zkąd ze wszystkich stron posypały się na mnie strzały i grad kamieni.... Spostrzegłszy takową zasadzkę, rozkazałem natychmiast podpalić miasto, choć żal mi było mieszkańców, którzy nie byli czynni w téj zdradzie, ale nad hufcem Bartosza pomściłem się srodze, ogień pożarł ich w oka mgnieniu, nikt z tego piekła nie wyszedł żywy. Następnie pokusiłem się o zdobycie zamku, wyłamałem już nawet jednę bronę i ubiłem im mnóstwo ludzi, lecz że wieczór nadchodził, a wysłane na zwiady szpiegi donieśli mi jako Sędziwoj z Szubina znaczne obleżonym śle posiłki, poprzestałem na zadanéj im tego dnia klęsce i cofnąłem się napowrót do Złotorji. Wieść o pomyślnéj na Inowrocław wyprawie, pokrzepiła serca ochotników i nowych zjednała mi sprzymierzeńców. Kiedy znaczniejsi z Nałęczów jak Świdwa kasztelan nakielski i inni odstąpili mię z obawy, by Ludwik nie pozbawił ich życia i mienia, kiedy nareszcie znakomici panowie wysokie piastujący urzęda wielce sprzyjają królowi, uboga szlachta i niezamożni księża, na których wszystkie spadają ciężary a którym solą jest w oku wielka władza i przywileje panów, wyciągają ku mnie ręce i dodają mi serca i otuchy; przysiągłem więc że nie zaśpię sprawy i więcéj niż kiedykolwiek jestem gotów do podjęcia nowych trudów i walki. Wszystko mi dziś sprzyja Ulrychu; dochodzą mię zewsząd wieści o wtargnięciu Litwy i dokazywaniu Węgrów w Krakowie, ale dla pomyślnego ukończenia sprawy brak mi doświadczonych wodzów, którzyby przeszkodzili połączeniu się wrogów i inne dalsze zdobywali grody, gdy sam bronić muszę Złotorji i Gniewkowa, brak mi ciebie i twoich braci, których moc ramienia i odwaga znane są wszystkim. Nieodstępujcie mię w tak ważnéj potrzebie, przybywajcie na czele bitnego rycerstwa, a hojnie nagrodzę was za trudy, skoro złamię chytre zamysły wrogów i ogłoszę się panem dziedzictwa moich przodków Kujawskiego i Dobrzyńskiego księztwa.“

Gdy Ulrych dobitnie czytał te ostatnie wyrazy, brat jego Arnold rozśmiał się głośno i wyrzekł grubym głosem:

— Nagrodzi nas za trudy, gdy ogłosi się księciem Kujawskiéj i Dobrzyńskiéj ziemi!... może udaruje nas zamkiem i grodem, który za kilka dni sprzeda znów Ludwikowi z całém swojem dziedzictwem.

— Nie wie jeszcze zapewne, o czém my już wiemy, podchwycił Dobrogost, że Kazimierz książe na Szczecinie i Dobrzyniu, któremu niedawno stara Elżbieta przysłała wsparcie, gotuje się na wyprawę, a także Sędziwój z Szubina i pan na Ujściu i Bartosz z Więcborga starosta brzeski, ze wszystkich stron, jak czarne kruki skoro pewną zwietrzą zdobycz, ciągną już do Złotorji i obsaczą go wkrótce we własném gnieździe.

— Kazimierz książe na Dobrzyniu pisał do mnie, rzekł wolno z uśmiechem Ulrych,

a zaklinał mię także, bym złączył się z nim dla poskromienia księcia Władysława, wyrzucając zarazem że ongi dopomagałem do podniesienia buntu...... Odpowiedziałem mu na to, że niepodzielałem nigdy burzliwych zamysłów księcia, a walcząc z nim pod Raciążem i Gniewkowem, za osobistą jeno mściłem się urazę, a że teraz nareszcie nie mogę z żadną sprzymierzać się stroną, bo ważne domowe sprawy nie dozwalają mi wydalać się z Drezdenka.

— Książe Szczeciński także hojną obiecuje nagrodę! z głośnym śmiechem wykrzyknął znów Arnold, nie oszukasz nas bracie! bo nié ma pono tego ktoby niewiedział że jesteś chudy pachołek; każdy czy ksiądz czy sługa, wydrwi od ciebie grosz ostatni i gdyby nie pieniądze Elżbiety, z torbą chyba nieraz musiałbyś chodzić po świecie.

— Napędziłem im zwierza do kniei, niech rozprawiają się z nim łowcy, nie trzeba jednak odbierać mu otuchy, dopóki nie zwalą go na ziemię! z dziką radością zawołał hrabia Drezdeński, wiecie jaką księciu przygotowałem odpowiedź?

— Jaką? zapytali bracia.

— Zaraz wam przeczytam.

Wstał Ulrych z ławy i wyszedł do sąsiedniéj izby, ale wrócił po chwili niosąc zwój pargaminowy który rozłożył przy lampie i czytał:

„Cieszy mię powodzenie wasze książe, a najwięcéj że nie tracicie serca i gotowi jesteście zawsze do walki, która jest najmilszém każdego dzielnego rycerza rzemiosłem; żałuję, że niemogę w téj chwili ofiarować wam mojéj pomocy, od któréj jednak nie wymawiam się wcale, owszem, niespodziejecie się nawet kiedy spadnę nagle jak piorun na głowy waszych przeciwników i przyłożę rękę do dzieła, mające go być waszą chwałą i zbawieniem. Nie gniewajcie się że przypomnę wam w końcu dawną moją radę, miecz zawsze trzymajcie w ręku do pomszczenia krzywdy gotowy, a kto przed wami nie uderzy czołem, tego za jawnego uważajcie wroga i sądźcie go jak zdrajcę a z ziemią zrównawszy mienie, wytępcie ród jego cały, bo nie dość jest zdeptać gadzinę, trzeba jeszcze zniszczyć jéj gniazdo.“

— Jak wam się zdaje bracia, wszak dobrą podaję mu radę, zawołał Ulrych z szyderczym uśmiechem, zwijając napowrót pismo.

— Wyborna rada, odrzekł Arnold, gdyby był od początku umiał z niéj korzystać książe, możeby lepiéj stała jego sprawa.

— On jest słaby, za nadto słaby! czy uwierzycie mili bracia, że w czasie zdobywania gniewkowskiego zamku widok dziewek Gerwarda tak zmiękczył go w jednéj chwili, że kazał pochować miecze i podał dłoń staroście, któremu chciałem zapłacić sowicie za dawne z nim porachunki......

— Dziwna rzecz że rycerz waleczny w boju tak miękkie ma serce, odparł z pogardą Arnold.

— Męztwo nie doprowadzi go daleko, kiedy nie umie korzystać z wygranéj... dodał Dobrogost.

— On zginie, pewnie zginie! zawołał Ulrych, ale niech mię nie obwinia bo dobrą podawałem mu radę.... kto wie? może posłucha mię teraz, bo rzucił już stawkę, choć gra jest szalona, a wycofać się dzisiaj bez sromu nie może. Pismo które wam czytałem poślę mu przez Henryka, bo niebezpiecznémby było w inne powierzać go ręce.... Niech się łudzi i czeka na mnie, o! czekać będzie zbyt długo; tymczasem zewsząd gromadzą się sępy i wkrótce gniazdo Piastowskiego orlęcia okolą, bo walnéj i krwawéj spodziewają się uczty.... niech ci i owi ostrzą swoje szpony, niech zginie Władysław Biały i Kaźmierz Dobrzyński i Bartosz z Więcborga niech zginie!... Wypijmy bracia po pełnéj czaszy, aby spełniły się życzenia moje! wykrzyknął z okropnym śmiechem Ulrych podnosząc do ust czarę.

Arnold potężną miarę wina wychylił za braci przykładem i dodał grubym ponurym głosem: Fryderyk pan Ujścia i Sędziwój z Szubina starosta wielkopolski niech zginie, a z niemi wszyscy Grzymalici i Nałęcze, którzy pożerają się już oczami a niedługo czekać chwili, kiedy wyostrzywszy szpony szarpać będą swe ciało.

Kiedy bracia wychylali straszliwy toast, jęk cichy rozszedł się w głębi izby i czarno odziana dziewica zadrżała obok filaru, który śnieżnemi objęła rękami, niby wi-

chrem złamana brzoza, wspierając się o krawędź ogromnego dębu; po chwili zerwała się jakby nadzwyczajną pokrzepiona siłą i cicho a niepostrzeżenie wybiegła z komnaty.

Podczas gdy Ulrych dodawa wina braciom i klątwą na ustach zagrzewa ich do czynu zdrady i mordów, w narożnéj baszcie, przy świetle lampy syn jego Henryk czyta uważnie w pargaminowéj księdze traktat kabalistyczny starego mędrca mnicha i wolno słowo po słowie, niby chcąc dobrze treść zatrzymać w pamięci, wymawia głośno: „Dwa są rodzaje znaków na niebie, które przyszłe okazują wypadki, jedne widoczne, jak naprzykład owe, które przedstawiają bitwy w obłokach, drugie są hieroglifami, jako miecze, strzały, zwierzęta i tym podobne. Ośmdziesiąt lat przed narodzeniem Chrystusa widziane były w obłokach zbrojne hufce, a według świadectwa wiarogodnych historyków, jako to: Plutarcha i innych, słychać było rżenie rumaków, świst strzał, szczęk mieczów, jęki i narzekania ludzkie, to też wkrótce potem nastały wojny Marjusza i Sylli. Przed wtargnięciem Hunnów i Wandalów do Italji, podobne znaki okazywały się na niebie, widzieli bowiem ongi mężów w obłokach, jako w krwawe biegli zapasy i psów wściekłych jako pożerały się wzajemnie, a słychać było długo przeraźliwe wycie....... Gwiazdy również nie winnym celu po niebie w różnych kierunkach są rozsiane, jeno dla tego, ażeby o przyszłych człowiekowi wróżyły wypadkach, a kto pozna ich przymioty, ruchy i połączenia, może w nich czytać tak dobrze jak w księdze. Widziane bywają jeszcze komety, które Plinjusz nazywa *sidera terrifica* gwiazdy strach przynoszące, że ziemianów nieurodzajem, nawałnicami, chorobami, znakomitych panów i królów wojną i odmianą straszą......“

W téj chwili srebrny głos niewieści zadźwięczał nad uchem młodzieńca, który jakby ze snu zbudzony podniósł głowę i wykrzyknął: Jadwiga!

Dziewica drżąca i blada lecz piękna jak senne widzenie, w czarnéj szacie, z wieńcem róż białych na skroni stała przy nim, a kładąc rękę na jego ramieniu rzekła: dziwisz się może że tak późno przychodzę do ciebie Henryku? głos jéj drżał a wielkie błękitne oczy piękne były wyrazem bólu i niewypowiedzianéj tęsknoty.

— Co ci jest siostro miła?

— Nie pytaj o to Henryku; boleść moja jest ogromna, ale przyszłam do ciebie po lekarstwo, wszak nie odmówisz mi go drogi bracie?

— Drżysz jak listek Jadwigo, siadaj i mów czego żądasz odemnie, wiesz że cię miłuję i gotów jestem uczynić dla ciebie, co wszystko jeno w mojéj mocy.

Jadwiga śnieżną ręką objęła szyję brata i pocałunek wycisnęła na jego czole, ale usta jéj drżały i nie mogła wymówić długo ani jednego słowa i podnosiła to znów zwieszała głowę niby namyślając się jeszcze od czego ma dalszą rozpocząć rozmowę.

— Czemu tak niepokoisz się miła i spuszczasz oczy, jak gdybyś nie śmiała patrzyć na mnie?

Twarz dziewicy spłonęła lekkim rumieńcem, przysunęła się do niego i drżącym głosem rzekła po cichu:

— Mam do ciebie wielką prośbę, ale czy uczynisz jéj zadość lub nie, musisz zachować w tajemnicy....

— Mów! wierz że cię nie zdradzę i gotów jestem milczeć na wieki, choćbym najsroższe miał za to ponieść męki.

— Wierzę ci miły bracie i dla tego nie mam nic tak skrytego, o czem nie mógł byś wiedzieć. Słuchaj więc.... ojciec nasz ma cię wysłać wkrótce z listem do Władysława księcia Gniewkowskiego....

— Mówił mi już o tém; pismo które mam powieść wielkiéj jest wagi i obawia się ażeby w obce niepopadło ręce.

— Tak jest! z głębokiém westchnieniem, odparła Jadwiga, ale nie wiesz że wielkie niebezpieczeństwo grozi księciu, którego los tak mię obchodzi, otóż proszę pozwól towarzyszyć sobie w téj podróży....

— Jakto? cóż ojciec powie na to?

— Ojciec! on wiedzieć o tém nié może i nie powinien, bo zdradza księcia i sprzysięga się na jego zgubę; ja zaś ocalić go pragnę nieodrzucaj więc méj prośby! mówiła składając błagalnie dłonie.

— Zrobię czego żądasz odemnie, ale powiedz jak myślisz począć w téj sprawie?

— Ojciec wyjeżdża z braćmi Dobrogostem i Arnoldem i nie prędko wróci. Oprócz jednego pachołka który towarzyszyć nam będzie w drodze, nikt się nie dowie o naszych zamiarach, ten zaś wiernym jest i nie zdradzi nas nigdy; przebrana za giermka wyjadę z tobą równo ze świtem, zanim służebnice ze snu się zbudzą, powiem im zaś pierwéj aby za powrotem ojca zawiadomiły go jako wyjechałam do klasztoru, sprzykrzywszy sobie samotne życie w opuszczonym zamku; zanim ojciec powróci dowie się o tém i poszukiwać mię zacznie, dużo czasu upłynie, może powrócę pierwéj do Drezdenka, lub umrę, jeśli mi tak los przeznaczy!....

—Nie, ty nie umrzesz siostro miła i wrócisz ze mną, a strzedz i bronić cię będę w drodze, a każdy twój rozkaz wypełnię święcie, jeno nie mów o tém że umrzesz lub mię opuścisz, bo bez ciebie smutno płyną mi chwile, a skoro cię ujrzę, to tak serce moje się raduje, jak gdybym po bardzo długiéj a ciemnéj nocy słonko nagle ujrzał na niebie.


W téj chwili srebrny głos niewieści zadźwięczał nad uchem młodzieńca.

—Dzięki ci bracie za miłość twoją, rzekła wzruszona Jadwiga, jeno pamiętaj o tajemnicy; skoro ojciec odda ci pismo prędko wybiorę się w drogę, a pachołek mi dopomoże.

To rzekłszy uścisnęła czule brata, a dostrzegłszy łzę w jego oku złożyła mu pocałunek na czole i wybiegła szybko z izby, jakby obawiała się w téj chwili, wydać ogromnéj boleści, która kamieniem ciężyła na jéj sercu.

XVIII.

Książe Władysław Biały mieszkał teraz ciągle w Złotorji, a opatrzywszy Gniewków i postawiwszy w nim silną załogę, gotował się do obrony, wiedząc że wróg najpierwéj kusić się będzie o zdobycie zamku, który z powodu wygodnego położenia przy ujściu Drwęcy do Wisły, najważniejszym był punktem w okolicy.

Jakkolwiek za nadto szumnie wyliczał obecne korzyści w piśmie do Ulrycha, napomykając o sprzyjaniu drobnéj szlachty i księży jego sprawie, część jednak prawdy była w tém doniesieniu, mianowicie, że ci i owi oburzali się najwięcéj przeciwko ustawie Ludwika, tak ze względu niemiłych dla wielkopolan rządów niewieścich, jakoteż rozkładu podatków, które dla uboższych były uciążliwe, gdy możni oswobodzili się od wszelkich ciężarów, oprócz opłaty dwóch groszy z łanu, do któréj obowiązani byli ich kmiecie. Jak już wspomnieliśmy wyżéj, burzliwy charakter Władysława i podejrzana przyjaźń jego sprzymierzeńców, nadto obawa o przyszły los kraju, zagrożonego straszną domową wojną, ostudziły serca wielu jego dawnych przyjaciół i wytrąciły im miecz z ręki.

Oprócz kilku zapaleńców, którzy jak pojmany w niewolę Wyszota z Kurnika, przylgnęli do Władysława jako do najbliższego męzkiego potomka Piastów, bez widoków osobistéj korzyści, inni ze szlachty, którzy się z nim złączyli, powiększéj części byli ci tylko którzy za swawolę, najazdy i gwałty, karani być mieli na gardle; zresztą składały się jego hufce z mieszczan gniewkowskich i inowłocławskich, jakoteż z łotrów zostających pod dowództwem znanego nam Jurki.

W obszernéj sklepionéj komnacie, zwanéj zbrojownią, oczekiwał Władysław Biały na przybycie Hanka, z którym się chciał rozmówić względem obrony twierdzy na wypadek oblężenia. Na ścianach izby wisiały tarcze, miecze i hełmy; kopije, wężownice, czyli koncerze, stały po rogach, na nich porozwieszane były łuki, trąby wojenne i rogi.

Kiedy Hanko z pokorą stanął na progu i oczekiwał na rozkaz, książe podniół głowę zwolna i rzekł poważnym głosem:

— Przybliż się do mnie, mam pomówić z tobą w ważnéj sprawie obrony zamku, bo wrogi moje zlecą tutaj wkrótce jak stada czarnych kruków, mury są nowe, mocne i nie łacno zburzyć się dadzą, ale pomyślałżeś nad tém czy mamy dostatek potrzebnych narzędzi i czy nie zabraknie ołowiu lub smoły, boć gardła u nich są obszerne i nie lada czém nasycą się tacy goście?

— Działa i machiny stoją na wałach a opatrzyłem i wyporządziłem je dobrze, nie dostaje jeno kół żelaznych i haków, które wypadałoby wcześnie zakupić.

— Dobrze Hanko, sprawny jesteś rzemieślnik, widzę że pamiętasz o wszystkiém; mianuję cię za to pełnomocnym nad całą załogą, odtąd jeno masz czuwać nad twierdzy obroną, a staraj się pilnie o to, ażeby nic nie brakło, gdy przyjdzie do dzieła.

— Dozwólcie mi więc miłościwy panie, wydalić się z zamku po zakupienie brakujących rzeczy, które powinniśmy mieć w pogotowiu, na wszelki wypadek, gdyby nieprzyjaciel podkopał się nocą i chciał wyłamywać mury.

— Chcesz więc wyjść ze Złotorji, Hanko? rzekł książe z niedowierzaniem, mierząc go bystrém okiem.

— Tak jest, chcę pojechać do Brześcia po owe narzędzia, jakoż za ich pomocą najłacniéj i najskuteczniéj można razić wroga gdy się wdziera na wały....

— Może sprawiedliwie mówisz bracie, ale któż mi zaręczy że nię frúniesz do lasu, skoro raz cię wypuszczę z klatki...... Hanko, czy ty wrócisz jeno pewnie?

Młynarz ruszył tylko ramionami, zwiesił głowę i rzekł pokornie: jeśli nie wierzycie mi książe, na to już nie mam rady i nie moja będzie wina, gdy zabraknie najlepszych środków obróny.

— Zgoda i na to, zezwalam na twój wyjazd, pod warunkiem że za dni trzy powrócisz do Złotorji...... Co? dajesz mi słowo że w dniu oznaczonym stawisz się w zamku?

— Chociażby mi przyszło stąpać po rozżarzonych węglach nie złamię słowa i stawię się przed wami za trzy lub najdaléj cztery dni na tém samém miejscu.... tak mi dopomóż Boże! dodał podnosząc rękę w górę, niby na znak przysięgi.

— Wyprobowałem cię bracie, byłeś mi dotąd wierny.... ufam że mię nie zdradzisz. Oto masz pieniądze na zakupy, ruszaj z Bogiem!

Gdy wyszedł Hanko książe przechadzał się po komnacie, z założonemi na krzyż rękami, w różnych gubił się domysłach, nagle drzwi się rozwarły i stanął w progu Jurko. Dowódzca bandy postąpił kilka kroków i chciał coś powiedzieć, ale Władysław zagadnął go prędko:

— W porę przychodzisz bo ważne w téj chwili miałem ci uczynić zapytanie, jak myślisz czy na wierność Hanki młynarza mogę rachować śmiało?

— Możecie, ani mniéj, ani więcéj miłościwy panie, jak na wierność niedźwiedzia którego uwiążecie na łańcuchu.

— Co znaczy to porównanie?

— To się ma znaczyć że niedźwiedź skrępowany a Hanko zamknięty i strzeżony w zamku, w tém są podobni do siebie, że ani jeden ani drugi zdradzić i szkodzić nie może.

— Więc źle zrobiłem że go wypuściłem i zaufałem jego słowu.

— Czy źle, czy nie źle, nié ma na to rady, skoro już się stało, odrzekł ruszając ramionami.

— Słuchaj! nie było innéj rady, jeno musiałem posłać tego łotra do Brześcia po kupno kół i haków żelaznych, a za trzy dni obiecał stawić się z powrotem; chcę jednak wiedzieć czy nie wstąpi do kogo po drodze, obawiając się by nie wszedł w układy z mojemi wrogami.... otóż wybierz jak najsprawniejszego z twoich łotrów i każ mu śledzić każdy krok Hanki. Czy rozumiesz dobrze czego żądam?.....

— Rozumiem i sprawię wszystko według waszego rozkazu a wypuszczę za nim tak czujnego wyżła, że zwietrzy ślad jego choćby w najgłębszéj ukrył się jamie..... Pójdę natychmiast.

Już Jurko wychodził z komnaty, kiedy nagle uderzył się w czoło i rzekł wracając z drogi:

— Ot, wyszło mi zupełnie z głowy, a toć ja pismo mam do was miłościwy panie...

— Pismo, od kogo?

— Od Wyszoty z Kurnika, dopiero co oddał je goniec.

Władysław Biały złamał z niecierpliwością pieczęć i czytał uważnie:

„Książe a panie mój miłościwy! mówił Wyszota, nie naprózno sen mi wróżył nieszczęście; wolałbym był umrzeć raczéj niż dostać się w ręce wroga, który mię w więzach osadził w Brześciu, następnie wymógł słowo że bić się przeciw królowi nie będę i odesłał pod strażą do Krakowa, gdzie do czasu na zamku siedzieć mi każą, a wszyscy jako na wilka nie miłé.n na mnie patrzą okiem. Ów sen, który miałem w nocy przed bitwą, przypomniał mi wróżbę strasznéj burzy w Poznaniu, co gród ten ongi nawiedziła, gdy piorun wpadł do kościoła i rozciął obraz Przemysława i Ludgardy, wielkie też odtąd klęski spłynęły na naszą ziemię a drogi ród Piastów stanął na krańcu przepaści. Ale niedługo pono będą się cieszyć wrogi z naszego upadku, smutnie zakończyła się swawola i tańce, które stara Elżbieta w krakowskim wyprawiała grodzie, kiedy bowiem ucieszną na zamku goście bawili się muzyką, służalcy węgierscy napadli na ludzi Przedbora z Brzezia i zabrali im wóz z sianem, ztąd powstała walka i wrzawa, nasi z jednéj a Węgrzy z drugiéj strony zbiegli się na pomoc swoim. Starosta zamkowy Kmita usłyszawszy zgiełk wybiegł konno i usiłował rozłączyć walczących, ale jeden z Węgrów wypuścił strzałę i upadł pan starosta na ziemię, ugodzony w szyję, poczem wkrótce wyzionął ducha. Zewsząd gromadzą się polacy i uderzają na węgrów, a niezważając na płeć ani podeszłe lata mordują wszystkich bez litości; dwaj młodzianie, wielcy ulubieńcy królowéj chronią się do domu Przedbora, który ich zamknął w izbie i rozkazał surowo domownikom, ażeby nie ważyli się wydawać miejsca ich schronienia, atoli skoro pan udał się na zamek, by oznajmić o tym wypadku Elżbiecie, za co ta pani wielką okazała mu wdzięczność, sługi jego wyciągnęli węgrów z kryjówki, odarli z szat kosztownych i zabili, poczem ciała ich wyrzucili przez okno. Przyjaciele zamordowanego Kmity tak srogą zakipieli zemstą, że skoro dowiedzieli się jak białogłowy ukrywają dworzan węgierskich w swoich komnatach, wdarli się tam zbrojno a młodzianów wraz z dziewkami wyrzucali przez okna, wypuszczając za temi strzały, którzy ratowali się ucieczką. Zginęło w téj krwawéj utarczce więcéj niż stu sześćdziesięciu węgrów.... możecie wystawić sobie łacno wielką żałość królowéj, która rzewnemi zalewając się łzami, niedługo po téj rozprawie, wyjechała do Węgier. Ale groźniejsza jeszcze zawisła nad tą ziemią burza, bo pewnie słyszeliście już książe jako Kiejstut książe trocki z bratem Lubartem przeprawili się pod Zawichostem i aż pod Tarnów ogromną rozneśli pożogę... złe to są znaki, wyraźna kara Boża za niesforne rządy kobiece, które bogdajby nigdy były nie nastały w Lechji, ale ten nowy dowód Pańskiego gniewu, może zmiękczy zuchwałe serca braci i zwróci ich oczy ku źródłu dawnego szczęścia, ku męzkim potomkom dawnego szczepu Piastów, a pamięć Bolesławów i Przemysławów w nowéj odrodzi się chwale....“

Na tych słowach kończyło się pismo Wyszoty, a książe rzucił go na stół i smu-

tnie zwiesił głowę, treść bowiem listu suchą mu się wydała i zawiodła jego oczekiwanie.

— Nic więcéj nie donosi mi nad to, nic, coby dotyczyło mojéj sprawy? zawołał podnosząc się prędko; jestże to pismo Wyszoty z Kurnika, który nie omieszkał nigdy dodawać mi serca, a wspierał zawsze czynem lub dobrém słowem i radą?

Gdy Władysław wymawiał te słowa, zafrasowane jego oblicze niepospolitą zdradzało boleść.

(D. c. n.)

DROBNE OBRAZKI Z RZYMU.

JÓZEFA KREMERA.

(WYJĄTKI Z DRUKUJĄCEGO SIĘ OBECNIE PIĄTEGO TOMU PODRÓŻY DO WŁOCH.)

(Dokończenie.)

WIĘZIENIA MAMERTYŃSKIE.

(Carcer Mamertinus.)

Na pożegnanie się z obrazami wielkich mistrzów, które przechowują się w Akademji Śgo Łukasza, wspomnę jeszcze choć pobieżnie o jedném z dzieł Rafaela, bo takowe jest wedle mnie jakby widziadłem przeczystém uczuć przeczystych.

Święty Łukasz siadł do pracy z paletą w ręku i tworzy obraz Panny Przenajświętszéj, a sama Królowa Niebios stąpiła z nadświatnéj krainy i w obłokach stanęła na wzór Świętemu mistrzowi. Obok niego sam Rafael młodzieniec, tonie z całą duszą w pracy mistrza, by się od niego nauczyć jak to malować Boga-Rodzicę. Dziewica Przenajświętsza pojawia się widziadłem niebiańskiém, o postaci na poły tylko dojrzanéj, w konturach rozwiewnych jedynie oczom duszy widomych. Na jéj obliczu choć uroczystości pełném, promieni wdzięk a uśmiech nadgwiazdny. Śty Łukasz mistrz najwyższéj męzkiéj urody, oczyma co płoną niby gwiazdy, ssie z widziadła niebiańskie natchnienie. Ta postać i oblicze jego należy do najwyższych klejnotów sztuki. Ale ten uczeń młody, postaci i postawy tak uroczéj, szlachetnéj, wpatrując się w pracę Świętego artysty, sam nią jest natchniony, wyświęcony na mistrza wdzięków nadziemskich, znać z jego oblicza jako w téj chwili nowe jeszcze, dotychczas nieznane światy naniebne roztworzyły się przed jasnowidzeniem duszy jego. I za prawdę! Spełniły się wróżby jego serca. Boża łaska opromieniła młodego ucznia, czyniąc go na życie całe wybrańcem wśród wybrańców, piękności rozniosłéj, przeczystéj. Bo obrazy święte późniéj przez niego z tajnic ducha na świat wywołane, stały się już świętem radosném przeczuciem dla następnych pokoleń. Kto stanie w obec tych jego niewiast z nieba zrodzonych, obaczy w nich ziszczenie własnych niepewnych marzeń, poczętych w błogosławionych chwilach, sam uczuje się być oczyszczonym ze skazy i wyniesionym nad siebie, nad człowieka powszedniego, biedzącego się z codziennym żywotem a pasującego się z winą własną. Takiéj to potęgi jest sztuka chrześcijańska!

Ale nie skończymy dziś obchodów naszych na wrażeniach błogich, które na nas tchnął obraz największego chrześcijańskiego mistrza! Akademja Śgo Łukasza stanęła tuż przy starém Forum Romanum. Więc gdy wystąpiłem za progi Akademji znów mnie w około otoczyły widma a straszydła pogańskiego świata.

Zaledwie kilkanaście kroków od téj Akademji, a tuż pod schyłem Kapitolińskiéj góry, więc tuż przy Forum zostały nam po czasach odwiecznych smętną puścizną, owe okropne a słynne w dziejach *Mamertyńskie więzienia*. One jak wiemy sięgają najdawniejszéj, prawie mytycznéj rzymskiéj historji, bo się zbudowały jeszcze za czasów królewskich. Gdy atoli ŚŚ. Apostołowie Piotr i Paweł wtrąceni byli przed śmiercią do téj kaźni ohydnéj, którą po-

dług pobożnego podania cudem uświęcili, więc ją po wielu wiekach zamieniono na kościół pod wezwaniem Śgo Piotra w Okowach. Późniéj zaś bractwo Śgo Józefa de Falegmani zbudowało nad kaźnią kościół patronowi swojemu.

Wszedłem do téj świątyni. Przed obrazem Najświętszéj Panny, ubranym w kwiaty, otoczonym ciżbą gorejących świec i lamp, wśród obłoczków kadzideł klęczą tłumnie pobożni błagając rzewnie Opiekunkę Niebios i Ziemi. Od rana do późnego wieczora wierni w Panu zalegają te miejsca święte.

mywał się cały pochód tryumfalny i wszystkie tłumy ludu — owe skinienie tryumfatora było rozkazem, by nieszczęśliwych jeńców odprowadzić do więzienia i zabić. — Dopiero gdy mu dano znać, że to polecenie wykonane, ruszał imperator, a z nim ciżby ku Kapitolium, by Jowiszowi złożyć dziękczynienia za zwycięztwa. Otóż tém więzieniem strasznéem, złowrogiém były owe kaźnie Mamertyńskie (carcer Mamertinus) — wszak one zaledwie na kilkanaście kroków są oddalone od miejsca, w którém się zaczynał Clivus. Zdaje się téż iż schody



Zamek Ś. Anioła i kościół Ś. Piotra w Rzymie.

Więzienia Mamertyńskie za starego Rzymu przeznaczone były dla wskazanych na stracenie, a wyrok zwykle wykonywał się w ich murach przez uduszenie lub śmiercią głodową. Poczém osękami po przez otwór wydobywano ciała zabitych i wywlekano na odstrach i ohydę ludowi zgromadzonemu na poblizkiém Forum.

Wiemy, jako w czasie tryumfów przed rydwanem prowadzono kajdanami okutych, pojmanych w niewolę królów i wodzów nieprzyjacielskich i jako w chwili gdy tryumfator miał wyjeżdżać na Clivus, to jest na drogę wznoszącą się na wierzch Kapitolińskiéj góry — na skinienie jego zatrzymywał się rydwan złocisty — zatrzy-

Gemońskie, na które wywlekano ciała zamordowanych ofiar, mieściły się tuż przy téj budowie, a ze strony zwróconéj do Forum.

Wstąpiłem do okropnego wnętrza — a naprzód do wyższéj jego kondygnacji. Custode zbliżając świece do ścian, pokazał olbrzymie ciosy z trawertynu, co tu legły na sobie jakby samorodne skały wzniesione pracą tytanów. Tutaj ołtarz i lampa goreje wiecznie na cześć świętemu wszech apostołów mistrzowi.

Ta wyższa kondygnacja sama przenika duszę zimném mrowiem; ona ciemna, nocna, a wcale nie obszerna, bo długości jéj stóp 25, szerokości 18, a wysokości tylko

13 stóp. Wśrodku sklepienia otwór okrągły, ciasny, bo tylko takiéj wielkości, iż mógł przepuścić ciało skazanych, których tu na linach spuszczano. W bruku téj ciemnicy, więc pod stopami naszemi widzimy drugi taki utwór w miejscu odpowiedniém tamtemu.

Tę kaźń, jak już dawniéj rzekliśmy, zbudował jak się zdaje za pomocą etruskich robotników, Ancus Marcius, czwarty król rzymski, a gdy on w roku 641 (przed J. Chr.) wstąpił na tron, więc to więzienie przetrwało właśnie do dziś dnia półtrzecia tysiąca lat!

Custode sprowadził nas po schodach kamiennych, ale nowoczesnych do spodniéj kondygnacji. W niéj jeszcze strasznéj, jeszcze okropniéj, a duszniéj a dławniéj. Tutaj zapewne wtrącano wskazanych na śmierć głodową. Jakieś odory rażące unoszą się w ciężkiém powietrzu. Custode powiada, że one pochodzą z poblizkich katakomb (?). Miejsce to jeszcze ciaśniejsze, niż owa wyższa kondygnacja, bo jego długość zajmuje tylko 18 stóp, szerokość 9, a wysokość 6 stóp. W ociężałém, podsadzistém, czarném jego sklepieniu umieszczony ten sam otwór, któryśmy dopiero co widzieli w bruku wyższéj kondygnacji. Tę ciemnicę wykonać rozkazał szósty król rzymski Servius Tullius, ztąd też zwykle się Tullianum zwała. Obejrzałem się w koło siebie i na ten bruk i na czarne skaliste mury, a mimowolnie niby senne strachy występowały z nocnych ścian okropności, których widownią była ta kaźń ohydna. Wszak te jéj głazy mokre, smętne, groźne, patrzały na ostatnie męczarnie Jugurthy i słyszały jęki długiego jego skonu (r. 104 przed Chr.). Ten król Numidji (niby dzisiejszéj Algerji) wymordowawszy własnych braci a krewnych, dosiadł zbrodnią a gwałtem krwawym afrykańskiego tronu, a złotem kupując sprzedajnych dygnitarzy i wodzów rzymskich, długo bezkarnie natrząsał się z prawa i sprawiedliwości i z onych robakiem zepsucia napoczętych panów świata. Ale nakoniec złamany w boju, wydany przez własnego teścia Rzymianom, sprowadzony do ich stolicy szedł Jugurtha przed rydwanem tryumfującego Marjusza obciążony łańcuchami — prawie obłąkany na umyśle ogromem swojego nieszczęścia. Na tej ostatniéj drodze, gdy go już prowadzono do téj tutaj ciemnicy, czerń uliczna wśród urągowiska zdzierała mu szaty z ciała i szarpała w kawały uszy, odrywając z nich kolczyki. Konał długo śmiercią głodową król Numidji w téj ciemnicy, bo dopiero szóstego dnia umarł umorzony. I znowu stanęła mi przed oczyma scena straszna, a którą opisuje Salustius kreśląc koniec towarzyszów w zbrodni Catiliny. Powiada bowiem, że gdy w senacie pierwszy pełen odwagi cywilnéj Cato wniósł, aby ujęci w Rzymie spiskowcy wedle praw przodków byli oddani na haniebną śmierć, senat, co dopiero lękał się przemożnych a skrytych przyjaciół Catiliny, jednomyślnie poszedł za zdaniem wielkiego współobywatela. Wtedy téż konsul Cicero z obawy, aby następna noc nie zrodziła jakiegoś nowego niebezpieczeństwa, rozkazał rozstawić warty i sam osobiście ze strażą odprowadził Lentulusa do tego tu więzienia. Toż samo z innymi uczynili praetorowie. Poczem Salustius opisawszy położenie podziemne kaźni Tullianum zwanéj, powiada, jako ona dla plugastwa, ciemności a odoru jest widokiem obrzydliwym okropnym (foeda et terribilis ejus facies est). Gdy w to miejsce wpuszczony był Lentulus, oprawcy stosownie do rozkazu postronkiem skręcili mu kark. Kończy Salustius uwagą: „tak tedy ten patrycjusz który należał do prześwietnego Corneliusów rodu, i który sam sprawował dawniéj władzę konsula rzymskiego, znalazł tu koniec życia godny obyczajów i czynów swoich. Taką samą śmiercią straceni byli w tych tu miejscach towarzysze jego zbrodni Cethegus, Statilius, Gabinius, Coeparius.“ Tutaj również był uduszony z rozkazu Tyberyusza ów dawniejszy jego poufnik a wspólnik okropności Sejanus. Tutaj przyprawiony o śmierć gwałtowną, ów żyd waleczny a niespokojny Szymon, co zrazu waśnił się ze swojemi, gdy atoli Wespazyan z wojskiem groźnie stanął pod murami Jerozolimy, dzielnie bronił świętego grodu. A gdy nakoniec zdobyto szturmem trzykrotne mury jego, gdy paląca się Jerozolima zagrzebała w gruzach tłumy mieszkańców swoich, gdy już od wielu dni wśród rozwalisk dymią-

cych się zniknęło wszelkie życie i ucichły konających jęki, gdy oddawna jedynie popalone trupy wyrzniętych żydów zalegały gorące jeszcze popioły, — nagle jakby cudem z pod ziemi, wśród ruin samego jerozolimskiego kościoła pojawił się Szymon przybrany w szaty uroczyste. Dojrzawszy go warta rzymska, miała go z razu za widmo nadziemskie — późniéj zaś pojmała w niewolę. Szymon przesłany do Rzymu— pędzony przed wozem tryumfalnym Wespazyana — osadzony w tém więzieniu Mamertyńskiém — w niém był uduszony *).

Ale zaniechajmy już tych wspomnień wstrętnych — pomyślmy jedynie, ile w tych miejscach ludzi i niewinnych i znów zbrodnią skalanych uległo gwałtownéj śmierci, bo przecież więzienia Mamertyńskie, jak mniemam, blizko przez lat tysiąc służyły strasznemu przeznaczeniu swojemu. — Mimowolnie wśród zgrozy a dreszczów duszy, stawał mi przed oczyma jakby rajska pociecha, ów obraz Rafaela i widziadło Boga-Rodzicy, i ów mistrz święty, i znowu błogosławiony jego uczeń młody!

Nie mogę atoli opuścić téj kaźni niewspomniawszy o owych chwilach, gdy w niéj przebywali ŚŚ. Apostołowie Piotr i Paweł przed męczeńską śmiercią swoją. A było to w roku 66tym więc za czasów Nerona, a właśnie we dwa lata po spaleniu Rzymu z rozkazu potworu tego. Podaniem świętém doszło do potomnych wieków, jako Ś. Piotr nawrócił na wiarę niebiańską dwóch twardego serca dozorców więziennych ŚŚ. Processa i Martyniana, a zarazem 47miu towarzyszów kaźni. A gdy wody nie było, więc cudem trysło źródło w więzieniu, którém ochrzcił Śty Apostoł nawróconych. A oni wszyscy dosłużyli się mękami za wiarę palmy męczeńskiéj.

Do dziś dnia bije źródełko w ciemnicy Mamertyńskiéj.

*) Z dziwném pojawieniem się Szymona wśród gruzów kościoła Jerozolimskiego rzecz tak się miała. Gdy miasto już było wzięte, a żołdactwo rzymskie hulało rabując, mordując, kąpiąc się we krwi (bo w téj całéj wojnie do miliona żydów zginęło), Szymon z kilku przyjaciołmi schronił się do jakichś podziemnych korytarzy jemu dobrze znanych. Jakoż te podziemia ciągnęły się długą przestrzenią, miał tedy nadzieję Szymon, iż kopiąc coraz daléj a daléj, zdoła wykuć sobie drogę wyprowadzającą daleko za miasto. Przecież gdy pracującym skończyła się zabrana żywność, Szymon doświadczając szczęścia ubiera się w szatę białą a odziewa się purpurowym płaszczem i jakby widziadło nadludzkie staje na gruzach świątyni. Warta rzymska zrazu uderzona była tém zjawiskiem, ale centurion Terentius Rufus zbliżył się do niego i jął mu pytaniem dojmować, Szymon wyznał kim jest i doznał losu, o którym powyżéj wspomniałem.

GROBY SCYPIONÓW.

Zaiste — Rzym jest wiecznie żyjącym patryarchą wszech idei dziejowych, a zarazem grabarzem ich — on wysyłał z kolei te idee jako swoje córy w świat, by panowały rodowi ludzkiemu — a gdy na każdą przyszła skonu godzina, chował ją z miłością w ziemi swojéj. Ztąd też Rzym tchnie majestatem tragiczności nie kończącéj się nigdy. I słusznie ktoś rzekł, że ta ziemia jego stała się jakby jednym wielkim grobem, jedną nieskończoną katakombą ludzkości całéj; więc ten gród wiekuisty jest wzniosłym jak śmierć; ztąd też groby a pomniki pośmiertne są jego mową rodzinną, są niemém a wiernem godłem jego istoty.

Rzekliśmy już wśród naszych wędrówek po owéj Pompei zagrzebanéj w popiołach, jak to starożytni Rzymianie obok gościńców publicznych, więc wśród najdzielniejszego a grzmiącego tętna życia stawiali grobowce im powierzając szczątki po zmarłych swoich*), nie dziw, — bo świat pogański nie rozdzielił jeszcze tak bezdenną przepaścią życia tutecznego od zagrobowéj dziedziny, bo ani bogi greckie z fantazji zrodzone, ani bogi rzymskie abstrakcją wymyślone, nie rozwarły jeszcze najgłębszych głębin duszy człowieka, one nie zamieszkały w świątnicy tajemniczéj serca ludzkiego. Te stare ludy nie znały jeszcze Boga prawdy, Boga miłości, Boga co umarł dla człowieka, więc też wina ich nie była jeszcze tak ciężką i okropną, one nie zadrgnęły jeszcze strachem ostatniego sądu nad światem.

Lecz choć dawni Rzymianie z miłością stawiali grobowce swoje wzdłuż gościńców ludnych a tuż pod stolicą, przecież ze wszystkich dróg *Via Appia* jest słusznie zwana królową wszech gościńców śmierci.

Téj drodze Appia poświęcamy dzisiejsze pielgrzymki nasze.

*) Podr. do Włoch T. IV. str. 468.

Wybraliśmy się na dzień cały na tę naszą wycieczkę, a to wczesnym, młodziuchnym więc jeszcze świeżym porankiem. Pewien ze znajomych naszych, umiejący, jak to mówią, na palcach cały dawny umarły Rzym, sam wybrał nam starego veturina i przepisał mu całodzienną wędrówkę naszą; a Antonio, bo tak się zwał nasz woźnica, pojął też rzecz doskonale, bo od młodości trawił życie na podobnych objazdach.

Tak tedy koła nasze zaturkotały co rychléj po odludnéj, cichéj Via Appia. Gdy samo imię téj drogi tak sławnéj w dziejach przejmuje wędrowca czcią a grozą, więc oczy w natężeniu — a serce mając napięte oczekiwaniem, toczyliśmy się ku bramie S. Sebastiano. Już prawie dojeżdżaliśmy do niéj, gdy Antonio zatrzymał konie po lewéj stronie gościńca. Właśnie w téj chwili i z drugiego jakiegoś powozu wysiadło kilku podróżnych; jak późniéj poznałem, byli to artyści przeróżnych krajów, bo Francja, Hiszpanja, Włochy północne i Ameryka miały wśród nich przedstawcę swojego. Wysiedliśmy z powozu. Otworzyła się fórtka, za nią rodzaj małego podwórka. Stanęła przed nami młodziuchna dziewczynka i oświadcza — że jéj rodzice wprawdzie, jako przy Niedzieli, udali się do kościoła, ale że ona gotowa nam wszystko pokazać i wytłomaczyć.

Tuż przed nami pokazała się jakoby bramka zdobna w ułomki dawnéj ornamentyki. Dziewczynka każdemu z nas podaje palącą świecę w rękę, a sama wziąwszy lampę przewodniczy w podziemne pieczary w skale wykute. Schodów nie było, tylko podłoga zwolna się w głąb pochylała. Tak po jednemu za sobą idąc, a trzymając zapalone świece, co jaśniały jakby gwiazdki w ciemnościach, składaliśmy niby pochód pogrzebowy postępujący uroczyście za umarłym. I zaiste nie brakło tu w tych pieczarach umarłych wiecznie żyjących, którym oddają cześć wszystkie pokolenia wszystkich cywilizowanych narodów! Te pieczary wcale nie wysokie, powykowane w różnych kierunkach, niby w różnych konarach, a jak się zdaje bez żadnego poprzedniego planu a prawidłowego ładu, stały się podobne do swobodnego dzieła natury. I kroczyliśmy zwolna, każdy z nas zajęty własnemi myślami, a uczuciem uroczystém serca swojego — każdy wbijał oczy w te ściany z grubsza tylko okute — sama tylko dziewczynka prawiła swobodnie choć przytłumionym głosem. Ustały lekkie słowa, płonne uwagi i zapytania, wszyscy kroczyli w milczeniu i czci. I było też czego zebrać ducha! bo pomyślcie! te pieczary — to są *groby Scypionów!*

Imię tego świetnego rodu piastuje dziatwę szkolną pacholąt, zawczasu serca młode wprawiając do hołdów dla spraw wielkich a wzniosłych, dla najdroższych a najświętszych idei. Więc w tych podziemiach jak widziadła uroczyste snuły się przed duszą naszą cienie wielkich dziejowych postaci.

Przez długie czasy poszukiwano tych grobów w téj tu cichéj, odludnéj stronie Rzymu; ale dopiero w roku 1780 znienacka przypadkowo odkryto te drogie zabytki. Ale on wiek ośmnasty mimo wrzekomego poloru i oświecistości złudnéj, był czasem lekkim, świętokradzkim. Olbrzymia dziejowa przeszłość nie miała znaczenia. Nie wiem, jakim to trybem a za czyjém przyczynieniem się stało, że groby Scypionów, znieważano, złupiono. Przedmioty tu znalezione, sarkofagi, nawet napisy (prócz jednego), przeniesione były do muzeów watykańskich. Sygnet z krwawnikiem, którym się pieczętował jeden ze Scypionów, późniéj przeszedł w posiadanie jakiegoś zamorskiego lorda, który się nim chełpi, niby ciekawą osobliwością wartą widzenia.

Kości Scypionów wyrzucone z trumien kamiennych, pozbierał pewien szlachetny wenecjanin i umieścił w swojéj willi pod Padwą.

Tak rozpocząwszy dzień nasz ruszyliśmy na dalsze obchody grobowe do kośnicy umarłego świata.

HUMORYSTYKA HISTORJI POWSZECHNÉJ.

Czém jest ironia? Czém jest humorystyka? Te pytania Estetyki dość niby głębokie a zawiłe, rozwiązał mi dziś z gracka przypadek, co choć go ślepym zowią, nie-

kiedy wielce jasno widzi i często na przykładach tłómaczy trudności filozoficzne dobitniéj i dotykalniéj, niż nie jeden długi, spekulacyjny wywód.

—Było to w godzinach popołudniowych pogodnéj Niedzieli, gdym szedł sobie zwolna wzdłuż Corso osobliwie dziś ożywionym i gwarliwym, bo niebo samo niedzielne świąteczne, potopem promieni ozłacając nawet najciaśniejsze labirynty rzymskich zaułków, kusiło mieszkańców, aby sobie swobodniéj odetchnęli na szerokich ulicach i placach stolicy — więc tłumy ludności wyroiły się na Corso gadając, śpiewając, śmiejąc się. Niekiedy tylko gdy wśród tłumów przesunęło się grono żołnierzy lub oficerów francuzkich, lud chwilowo się zasępiał, a ustępując z drogi, z ukosa spozierał na nowożytnych Gallów, bo wtedy mu się jeszcze nie śniło o wojnie z r. 1859, a za to chował w świeżéj a bolesnéj pamięci, jako republika młoda francuzka szturmem krwawym zdobyła dawną Romę — Jednak zaledwo buraczkowe przyodziewy znikły, a już wróciły żarty i śmiechy. Niekiedy turkocząc, grzmiąc, przelatuje świetny ekwipaż; — wnet z pośród ciżby wysłuchasz, czyli w nim przemknęło się imię popularne czyli wstrętne ludowi.— Lubo i tu się możesz przekonać, że w razach gdy wielkie duszą wtrząsające wypadki jeszcze zbyt blizkie i świeże, a burze wewnętrzne nadziei, obawy, radości i żałoby, jeszcze nie ukołysane w sercu, nie zawsze prawdzi się przysłowie *vox populi, vox Dei.*

Tak tedy wśród drużyny gęstéj, wesołéj szedłem sobie wzdłuż Corso ku Porta del Popolo. Same te jego domy dziś jakieś wesołe; szyby ich wytarte świecą i błyszczą, a nawet tutaj stojącym dość gęsto pałacom patrzy jakoś wesoło z okien jakby z oczów; znać, że one serdecznie rade, że już przeleciały czasy burz a łomotów społecznych.

Już minąłem kościół S. Carlo, gdy spostrzegłem, iż cząstka ludności zbacza w ulicę na lewo od Corso i odczepia się od głównego prądu, niby podrzędne ramię wielkiéj rzeki. Poszedłem i ja za drugimi ulicą dei Pontifici i nie zadługo obaczyłem się z olbrzymiemi afiszami, co rozwieszone po ścianach popisywały się wrzaskliwemi napisami, a jeszcze szumniejszemi drzeworytami, więc widać jakieś na gwałt pędzące konie, na nich panny stojące na jednéj nodze, a z wyzywajacym pióropuszem na kasku, potém znów gniadosz tańcujący na tylnych nogach, potém znów jakiś jegomość przeskakujący aż cztery konie i inne tym podobne ciekawe rzeczy. Postanowiłem pójść na te widowiska, bom rad był przypatrzyć się samym widzom, a rozpoznać się w miejscowości. Pokazano mi dom—z małego podworca jego widać gdzieś u góry sterczące harde mury starożytne, siwe — podobne do skalnego butnego urwiska. Wstępujemy po schodach — cisną się ludzie, gwarząc a chichocząc. Nakoniec dostaliśmy się do cyrku. Objął go mur zatoczony w kolistą rotundę, o niego spierają się ławy kamienne, wzniesione amfiteatralnie w koły areny— Cyrk bez pokrycia.— W téj chwili popisuje się właśnie dwóch bajaców z pomazaną twarzą, stroją błazeństwa, tarzają się po ziemi, magają koziołki i t. d. Potém zwykłe hece końskie— ciskają się skoczki na salto mortale — a w koło widze z promienistą twarzą grzmią oklaski huczne — potém znów obaj bajace wyprawiają sztuki łamane — pozycje ich wstrętne a dowcipy plugawe, wywołują niby ognie rotowe i brawa z ust radującéj się gawiedzi. Potém znów owe zwyczajne koncepta — stary kaleka odziany w łachmany chce kupić konia, podają mu szkapię znarowione, któréj poradzić nie zdoła— potém sam sobie wybiera konia rasistego, dosiadłszy go toczy z nim dzielnie—rzuca z siebie perukę, brodę, łachmany, przeistacza się w młodzieńca w szatach złocistych, a o formach, któreby mu mógł pozazdrościć Antinous w Watykanie — lubo o takową męzką, plastyczną urodę nie trudno we Włoszech a zwłaszcza w Rzymie.

Mur opisujący doskonałe koło, a będący dziś murem zewnętrznym cyrku, jest całą pozostałością z Mauzoleum Augusta. Średnica tego koła dochodzi 220 stóp. Wiemy z pewnością, że w tém wnętrzu kolistém, wznosiły się jeszcze cztery mury obiegające także koła, a mające jeden i ten sam środek, który był środkiem muru zewnętrznego więc całego budynku. Te przeto mury koliste spółśrodkowe, były coraz

mniejszego obwodu, a to tém więcéj, że między jednym a drugim zostawała dość znaczna przestrzeń. Krom tych murów dźwigały się jeszcze inne, idące jakby promienie od środkowego, więc najmniejszego koła, aż do koła zewnętrznego największego. Przestrzenie między murami kolistemi a owemi biegnącemi w promień pokryte były w sklepienia. Tym trybem przeto utworzył się we wnętrzu téj całości labirynt mnóstwa komor i izb sklepionych, przeznaczonych na groby dla członków rodziny Augusta.

Wielce zajmujące było zapewne zewnętrzne wejrzenie téj budowy. Zdaje się prawie niewątpliwie, iż mur zewnętrzny był najniższy, a mury stawiane kołem im bliżéj środka, tém się wyżéj wznosiły, tak tedy mur środkowy, określający koło najmniejsze był najwyższym ze wszystkich. Te tarasy były nasypane ziemią i zieleniły się w drzewa i krzewy kwitnące; a w środku, zatém w miejscu najwznioślejszém, stanął posąg kolosalny Augusta.

Otóż znowu tedy spotykamy pomysł staroitalski, zwłaszcza etruski, jest to po prostu odgłos mogiły (tumulus) choć to dzieło Augusta stanęło w przepychu a ogromie marmurowym. Spotkaliśmy już zabytek podobny z praszczurowych czasów w owym grobowcu Horacyuszów i Kuryacyuszów pod Albano *). Kończymy opis nasz pomnika Augusta słowami Strabona, który urodziwszy się prawie spółcześnie ze śmiercią tego cezara, własnemi oczyma patrzał na to budowanie tak okazałe a arcyoryginalne: „Ze wszystkich pomników najwięcéj godném widzenia na campus Martius, mówi Strabo—najciekawszém jest tak nazwane Mauzoleum, jest to pagor usypany na wysokiém budowaniu z białego marmuru, a do samego szczytu wysadzony we wiecznie zieleniejące się drzewa. Na samym wierzchu stanął spiżowy posąg cezara Augusta, pod pagorem znajduje się grób jego i groby jego krewnych i przyjaciół. Za pomnikiem rozlega się wielki gaj, w którym widać wzniesienie marmurowe, otoczone na zewnątrz kratą żelazną, a zewnątrz zagęszczone topolami— na tém miejscu spalono zwłoki cezara Augusta i t. d. (Strabo V. 3.)

*) O Grobowcu tym ob. wyjątek z téjże Podróży „w Kółku D. r. 1861 — 1862 str. 137.“

Cezar światowładny Augustus konając pytał przyjaciół—„czylim dobrze odegrał rolę swoję?“ dodając — „więc klaskajcie w ręce, bo sztuka ukończona.“ I miał słuszność August — bo to życie jego było jedną długą komedją, było ironią istną z rzeczy zacnych a ze spraw głębokiego znaczenia — on je podnosił wysoko, by je tém pewniéj ztrącić z podnoża. Życie jego i rządy jego były jak wszelka ironja sprzecznością zewnętrznéj lśniącéj formy z wewnętrzną negacją, więc téż na łożu sam się być komedjantem uznał.

Ale historja sama sobie zadrwiła z niego cierpką ironją — bo to właśnie ostatni cezar z jego rodziny ów Nero przedzierzgnął się już w nieukrytego, w nieudanego, ale rzeczywistego komedjanta, popisującego się publicznie za pieniądze przed ludem, a umierającego z żalem, że tak „w nim wielki artysta ginie dla świata.“ Ba! Przecież ta historja, gdy jéj przyszło nadać zwrot całéj ludzkości i nową rozpocząć erę, sama się wcieliła w Augusta, uosobiła się w nim żywcem — więc gdy późniéj obraca w ironję jego własną pamięć a grób jego, już sama z siebie żartuje, sama siebie obraca w komikę — a to właśnie jest jéj humorystyką głęboką i pełną znaczenia. Jakoż humorystyka każda na tém stoi, aby człowiek sam w sobie uznał komiczność swoją, aby sam na siebie patrzał z komicznéj strony, aby sam siebie w żart obrócił — a śmiał się ze siebie samego; aby sam był widzem i komiczną figurą w jednéj i téj saméj osobie.

W téj komedji wewnętrznéj często się téż dzieje, że wielkie idee, że szlachetne uniesienia, że uczucia wzniosłe, ogromne jak świat, rozbijają i gruchocą się o drobnostki powszednie, o maluczkie zaczajone biedki żywota, a złośliwe, ślepe przypadki. Wtedy się śmieje humorystyka, śmieje się do rozpuku, ale jéj oko łzami zalane a serce pęka.

ŁAŹNIE TYTUSA
(TAKŻE TRAJANA ZWANE.)

Jakto najczęściéj bywa w Rzymie i tutaj rozwaliny wielkiéj przeszłości otoczone

są w koło ciszą lubą sielskiego pejzażu. Zajechaliśmy przed domek schludny, ale tak samotny, jak gdyby był pustelnią odsuniętą daleko od życia i świata. Wystąpił z niego staruszek dozorca, a widząc o co chodzi, zabrał żerdź już nie wiem na ile łokci długą, i opatrzoną w końcu w talerzyk o dwóch stoczkach. Oprowadził nas tłomacząc rozkład zwalisk wielce rozsądnie i ze znajomością rzeczy i pokazał nam rysunek planu tych termów. Ale nawet bez tego planu nie trudno rozpoznać, iż te termy stanęły jakby na podwalinach, na dawniejszém od nich budowaniu. Zdaje się tedy, że archeologowie mają słuszność za sobą, gdy twierdzą, że Tytus, stawiając na schyle Esquilinu termy swoje, użył jako podbudowania części owego słynnego pałacu Nerona.

Długo chodziliśmy po tych zamroczonych przestrzeniach spinając się i utykając na okruchach okazałości odwiecznéj, a słuchając wyjaśnień naszego mentora. Nakoniec staruszek dobywszy fosforycznéj flaszeczki, nie mało się namęczył, zanim wywołał z przedpotowego narzędzia płomyk, którym zapalił owe dwa stoczki swoje; rzekłbyś, jakoby zapałki nowoczesne nie doszły jeszcze w to zacisze po dawnych a hardych panach ziemi. Poczém podniósł, ile mógł najwyżéj, ową żerdź swoją i rozświecił sklepienia i ściany, a nad nami ze ćmy nocnéj wystąpiły jakby z za kulisy czarodziejskiéj widziadełka pełne wdzięku. Były to starorzymskie malowania fantastyczne, które zwykle groteskami zowią. A wiecie co to są groteski? Tu ptaszek, tam zadumana stanęła kapłanka, lub z kwiatu wyrasta z uśmiechem nimfa, lub ulatuje chłopczyk na motylich skrzydłach, owdzie znów majaczy perspektywą napowietrzną jakieś senne budowanie, tam amorek, co na poły liściem, na poły filuterném pacholątkiem etc. Wszak desenie i szlaczki rozdzielające strop na pola, same są swawolką żartującą; są to niby gałązki wijące się w kółko, a w kółku liszka, wiewiórka, któréj ogonek wyrasta z onéj gałązki kwiecistéj, niestworzonéj. A nie podołasz tym gadkom, co bają i marzą, niby wiosna w Maju.

Ale te wybryczki fantazji naiwne, figlarne, tak już spłowiały, przygasły na barwach i skopciały dymkiem często oświecających je stoczków, że trzeba było dobrze napiąć oczy, by wyczytać z nich ową poezję lekkoduchą, lubą i uroczą. Mimo to, że te fantazyjki utworzone przed dwoma tysiącami lat, dziś już są jakby cieniem siebie samych, przecież one zrodziły w nowoczesnéj sztuce, rodzaj nieznany w poprzednich wiekach chrześcijaństwa.

Czytelnik zna już zblizka naszego starego przewodnika Vasarego, który, choć sam nie zbyt wielki mistrz pędzla, nie mało zasłużył się światu piórem, spisując żywoty wielkich artystów, a żył w przyjaźni z Rafaelem. Otóż ten Vasari o tych łaźniach Tytusa prawi nam wielce zajmujące rzeczy. Stało się to pewnego poranku, mówi on, że Rafael odwiedzał termy cesarza Tytusa, w nadziei odgrzebania w ich gruzach jakiegoś arcydzieła staroczesnéj skulptury. A miał z sobą swojego ukochanego ucznia Jana z Udyny (Udine we Friaulu, ur. 1487 † 1564), który już od wczesnéj młodości swojéj celował w malowaniu kwiatów, gałązek, ptaszków i zwierzątek wszelkiego rodzaju, a przedstawiał je z taką prawdą a wdziękiem, że na ich widok serce się śmiało.

Nie wiem czyli tym razem Rafael i przyjaciel jego znaleźli jakieś ważne ułomy rzeźb w tych przestrzeniach sklepionych, które dla swojego podobieństwa do pieczar grotami się zwały — to atoli pewno, że obaj stanęli w radośném zachwyceniu, odkrywszy z nienacka te malowane fantastyczne kompozycyjki, uśmiechające się wśród również gracyjnych i lekkich stukaterji. A one przemówiły do obu mistrzów, zapewne tém silniejszém wrażeniem, iż naówczas, bo przed trzysta lat z okładem, malowania te były i o wiele liczniejsze niż dziś i nierównie świeżéj zachowane. Jeżeli atoli te wdzięczne majaki przejęły Rafaela prawdziwém weselem duchowém, już one z duszy mistrza Jana wyrosły nową gałązką sztuki. Boć stały się pierwszém dla niego potrąceniem do stworzenia onych malowanych, cudnych, genjalnych figlików, które zwano groteskami, wedle termów a wrzekomych grot, w których się przechowały ich pierwotne starorzymskie wzory. Gospodarzył tedy i mistrzował sobie

Giovani d'Udine, w dziedzinie czarnoksięzkich, fantastycznych, uroczych, figlarnych marzeń. Więc u niego na krzewach i drzewach lęgną się niby ptaszki dziewczątka, z pączków wyglądają amorki-aniołki; więc gałązki, igrające nimfy, orlątka, kwiatki, koźlęta i pałacyki i światniczki napowietrzne, splatają się w jednę niestworzoną całość, żartującą sobie ze wszystkiéj logiki natury, ze wszelkich ustaw rzeczy przyrodzonych. A całość ta jest tak lubą, gracyjną a uroków pełną! Dopiął się Giovanni też najwyższego szczytu fantastycznego swojego genjuszu, ubierając w groteski owe watykańskie loggie Rafaela. A tak wielki mistrz Rafael, w tych pracach podzielił się nieśmiertelnością z ulubionym uczniem swoim. O tych ludziach późniéj obszerniéj mówić będziemy.

Tu już jednak powiedzmy sobie nieco bliżéj, choć jeszcze powierzchownie, ale ze względu estetyki czém są w istocie groteski. Widać, że one żartując, figlując wiążą w jedność sprzeczności i znowu je rozwięzują — a tém samém o ścianę graniczą z komiką; a z drugiéj strony wznosząc się nad rzeczywistość i nad jéj prawa powszednie, przypominają jakby dalekiém echem wzniosłość, choć takowa innym a właściwym sobie trybem wznosi się nad powszedni a codzienny świat. Uważmy też, jako częste bierzemy w malarstwie groteski a arabeski za jedno, a to po części słusznie, a po części niesłusznie. Jakoż fantazja a nawet filozofja arabska, mają sobie za baj-bardzo, ustawy rozumne i prawa stałe, wiecznotrwałe natury, a rzeczywistości wszelkiéj, więc też nie dziw, że poezja arabska tak cudotworcza, wydziwiająca, baje sobie i marzy bezrosądnie, ale baje sobie i marzy z niewypowiedzianym wdziękiem, jak to widzimy w powiastkach „tysiąca nocy i jednéj.“ Dla tego też ta fantazja wschodnia podobnie nie dba o zwykły świata ład, gdy z pędzlem w ręku tworzy igrając owe bajeczki arabeskami zwane.

Jednak arabeski ściśle mówiąc różnią się od właściwych grotesków, bo arabeski unikają form zwierzęcych, a więcéj jeszcze ludzkich, gdyż Arabowie jak w ogólności wszystkie muzułmańskie ludy grzechem być uważają, gdy człowiek tworzy formy jestestw żyjących, nie mogąc im nadać życia i duszy. Groteski zaś chętnie wywołując postacie ludzkie, tém samém krewnią się z karykaturą, lub wedle mojego zdania tém się znowu od niéj różnią, iż groteski są dobroduszną swawolką natchnionéj fantazji, która naiwną igraszką się bawi, nie znając w tém żadnéj złéj myśli i żadnego innego zamiaru, a przeciwnie karykatura przycinając przesadą paczy i gwałci formy przyrodzone, bo ma aż na celu wytykanie słabostek i ułomnostek ludzkich, a tém samém nie działa z prostego natchnienia, ale wymyślając z zamiaru powziętego z góry, wié z całą myślą sobie przytomną o co jéj chodzi.

WNĘTRZE AMFITEATRU FLAWIUSZA
ZWANEGO COLOSSEUM *).

Jeżeli już widok zewnętrzny tego cudu świata przejmuje grozą a podziwieniem, widok wnętrza uderza wrażeniem, jakiego nie doświadczałeś jeszcze w życiu całém.

Z razu nad nami sklepią się potężnym łukiem opoki ciemne, brunatne, obok nas ściany skalne, wilgotne, wyszczerbane, ubrane w bujne mchy, a bluszcze powiewne. Jeszcze chwilek kilka a mrok się rozjaśnił, znów nad nami przeczysty nieba błękit, przed nami arena niegdyś plac bitwy, walki i mordów. Arena roztacza się przeciągłą pustą równiną — w koło obstąpiły ją zwaliska olbrzymie, nieprzejrzane, chaotyczne. Zdaje ci się, jakobyś był z nienacka przeniesiony w jakąś tatrzańską skalną dolinę. Zewsząd spinają się gruzy murowane, strome, rozpadłe, w koło obiega rząd ogromnych pieczar ziewających niby groty górskie, a nad niemi znów inny, wyższy tych jaskiń szereg a nad nimi

*) Opuściwszy w tym wyjątku opisanie zewnętrznéj architektury Colosseum, wspomnijmy choć pobieżnie o wymiarach jego. Colosseum zbudowane kształtem eliptycznym (owalnym). Dłuższa oś téj elipsy dochodzi 591 stóp paryzkich, oś mniejsza, to jest szerokość owalu 508 stóp. Jak ogromne są te rozmiary poznać można z tego, iż jeden bok tak rozłożystego rynku krakowskiego, dochodzi w przecięciu tylko 552 stóp. Wysokość całéj budowy Colosseum sięga 183 (wedle innych 190) stóp paryzkich; jest to wysokość czternastu piętr zwykłych kamienic — 80 bram prowadziło do wnętrza. Ten amfiteatr obejmował 87,000 widzów siedzących na ławach, a prócz tego 20,000 osób stojących.

jeszcze inny. Te jamy oznaczają sklepienia, które dźwigały niegdyś na sobie schody i owe ławy i w sto tysięcy zebranego widza.

Ławy, schody zniknęły, — sklepienia zgruchotane spadły, — a teraz one patrzą jakby groty przez naturę zbudowane. Ciało zniszczało, kości nagie szkieletu wyzierają na świat. A nad tém państwem smętném, zamętném gruzów, piętrzy się pod obłoki owa ściana wzniosła, co była niegdyś czwartą kondygnacją całości. Okna jéj dziś zamienione na otwory bezkształtne, przez które zagląda niebo promienne. Ta ściana nie dostała w całości, od dawna wielka jéj część runęła z wysokości niby gromem uderzona.

Na czołach rozwartych pieczar, ze szczelin gruzów, ze szpar kamiennych wybujały zewsząd zioła, kwiaty, trawy gęste, krzewy, drzewka, dziwnie wdzięcznie strojąc ten umarły chaotyczny świat. Około kwiatów wirują ich druchy motyle lekkie, barwne. Niekiedy zioła zadygocą w sobie — to jaszczurka przemknęła niby błyskawiczka żywa strącając w biegu maluchne kamyki. W miejscach wysokich nieprzystępnych dla człowieka zbudowały sobie domki ptaszków liczne rodziny; więc od czasu do czasu któryś z tych skrzydlatych, świegotliwych mieszkańców przelatuje zwaliska, siędzie na głazie — przypatrzy się ciekawie wędrowcom, i po chwili znowu wraca do swoich i ukryje się w zaciszy.

Ale matka-natura nie w same kwiaty i krzewy, nie w same tylko zwierzątka ożywiła te przebrzmiałe, upadłe wielkości dawne, ona jeszcze ochuchała je całym cudem, całą glorją światła i barw, na którą jedynie zdobyć się może przeczyste niebo południa. Te głazy brunatne i opoki nieme, te rozsypiska głuche, zczerniałe, przemawiają eteryczną magją oświetlenia. Bo te ciosy, choć zczerniałe, bure, trupie, jednak wedle różnego położenia do słońca, do błękitnych nieba lazurów, wedle stanowiska do nas, wedle stopnia, którym występują na zewnątrz lub chowają się w głębszych lub najgłębszych cieniach, mienią się we wszech farby i światła przyrody czarodziejskiéj malownicy. A te kolory światłością słońca wywołane posypane złotem, dygocą, drżą i mienią się za każdą chwilką, bo słońce, co choć zwolna kroczy, jednak jako skazówka zegaru świata, z każdą chwilką zmienia miejsce swoje na niebie. Patrz, tamte głazy palą się pomarańczowym ogniem, te znowu stanęły, jakby roztopioném złotem oblane, znów inne tleją miedzianym połyskiem — a tuż obok, znowu inne w cieniu ukryte, toną w błękicie bladym, drżącym, jakby księżycowéj poświaty — bo one już nie słońcem, ale lazurami nieba rozświecone — a jeszcze inne, choć utopione w głębszych mrokach, jednak w téj zapadłéj mistycznéj nocy, jeszcze grają w różne tony, bo w tych ciemnościach jeszcze widno, jak widno choćby w głębokich cieniach obrazu Corregia.

Wśród tych wywrotów smętnych, cmentarnych, w których śpią snem śmiertelnym ośmnaście wieków — wśród téj roślinności dziecięcéj, niewinnéj, co otula i pieści te stare głazy — wśród tych eterycznych śpiewów, świateł i cieniów i barw — wśród téj samotności a niemego opuszczenia — spoczywając na opoce zwalonéj — dumasz i myślisz. Zanim się spostrzeżesz całe godziny upłynęły lotnemi chwilami.

To budowanie zaprawdę jest jakoby osobnym światem w sobie zamkniętym, więc sam zebrawszy się w sobie, zapominasz o tym świecie rzeczywistym, co gdzieś tam się łamie i bieduje i mozoli za temi gruzami. Tak swobodnie dumasz i marzysz — a w koło areny stoją w milczeniu stacje drogi krzyżowéj — na nich niekiedy ptaszyna w przelocie spocznie i zaśpiewa. W środku areny dźwiga się ów krzyż czerwony; on drewniany, niewymyślny, ale stanął niby trofea zwycięzkie nad upadłą wielkością pogańską. Tutaj wobec ciebie pogranicze dwóch światów, bo dziejów staroczesnych, a chrześcijańskiéj historji; tu stykają się z sobą bunty rozhukanéj, ślepéj materji — a ducha naddoczesne dziedziny.

I baczmyż! Wśród otaczających cię w koło zwalisk, widać jeden klin ław z całą wewnątrzną substrukcją świeżo odbudowany; stało się to z polecenia a nakładem Ojca Śgo, by tę stronę amfiteatru utwierdzić i od zwalenia obronić, i choćby w maluchnej części ułatwić zrozumienie całości i uobecnić ją nam, późnym pokoleniom, ja-

ką była niegdyś, przed wiekami. Bo taki to jest wiary naszéj duch — gdy przymilkną łomotne namiętności w sercu, gdy przycichną dawne zawiści, gdy pierzchną te wszystkie maluczkie ludzkie biedoty, wtedy miłość bez granic rozpromieni się w sercu i przebacza winy i zapomina odpokutowane zbrodnie, a przytula miłosierdziem do siebie puściznę, choć pogańskiéj przeszłości — wszak i ta przeszłość jest ludzką — i ona mieszkała na téj ziemi Bożéj, i ona przebolała ciężki żywot cierpieniem a męką.

Tém nowobudowaném wnętrzem *custode* prowadził nas na wierzchne kondygnacje, by pokazać nam afiteatr z góry. Więc mijamy wspaniałe butne sklepienia, więc korytarze rozłożyste a mury jakby forteczne, a schodów nié ma końca, co które przemożone, to znów inne zabiegają nam drogę. Nakoniec stajemy na saméj górze. A jakby z dachu wielopiętrowéj kamienicy wzrok buja nad labiryntem zwalisk — na dole gdzieś w głębi przepaścistéj rozwija się arena — owe jéj kapliczki zmalały w miniaturze. Ztąd możesz całość ogarnąć okiem i myślą i fantazją. A jednak należy poprzednio dobrze się zpoufalić z planem a rozkładem amfiteatru całego, by się nie obłąkać, nieobałamucić ową na pozór zawiłą, na pozór zamętną konstrukcją, niby sztucznie, misternie skombinowaną, a przecież w istocie tak prostą a tak rozsądną. Te sto tysięcy widzów bez ścisku mogły zająć miejsca swoje i nawzajem bez natłoku a wygodnie, mogły się jakby wezbrane rzeki wylać w kilku chwilach z amfiteatru. Zaprawdę ta budowa naocznie świadczy o rozumie arcypraktycznym starego Rzymu!

Często wędrowcy, którzy odwiedzili Colosseum mówią lub piszą w swoich książkach, że gdy chodzili wśród zwalisk tego kamiennego olbrzyma, mimowolnie odradzała im się w myśli cała budowa, jaka była niegdyś za dawnych wieków i napełniała się tłumem chciwym strasznych widowisk. I nie dziw! Bo chocbyś w sobie miał tylko iskrę wyobraźni, to otoczenie jest tak nad wyraz ogromne i wymowne, a bije na cię tak wszechmożną siłą, iż ta iskra drobna w rychle roztleje a buchnie jakimś czarodziejskim płomieniem, co poświatą jaskrawą rozświeci w koło i z daleka i z blizka nieprzeliczonéj mnogości obrazy, łączące się z sobą w olbrzymie panorama. Taki widok zawróci myśl, upoi duszę, przeniesie cię żywcem w owe wieki straszliwe rzymskich imperatorów. Tak i mnie się stało. Stojąc na saméj wysokości téj odnowionéj części amfiteatru, puszczając wzrok polotem po nizinie areny, i znów po zamęcie rozsypisk dźwigających się w koło niéj niby w strome skały, tonąc duszą w starorzymskim świecie, zdaje ci się, że wśród białego dnia a jasnego jawu, zapadłeś w nocne majaki a senne marzenia. Szybkością błyskawicy stają odbudowane, piętrzące się, niezliczone marmurowych ław szeregi, a rozlała się po nich powódź ludzkich tłumów. Kędy spojrzysz cisną się ciała przy ciałach, głowy przy głowach. Bliżéj ciebie widzisz wyraźnie na twarzach rysy spaczone, wykrzywione chucią krwi, cała dusza ich w oku, a oko błyszczy, pali się złowrogim ogniem, niby u dzikiego zwierza pustyni. Im daléj od ciebie tém silniéj zacierają się te rysy ohydne. A tłumy na przeciwległéj stronie areny zlały się w zamętne masy, a nieprzejrzana odległość powleka je powietrzną błękitną oponą, więc widzisz tylko zamęt niby żywe ludzkie morze, co ruszając się bije z lekka falami. Te tłumy zapomną o głodzie, o pragnieniu, żądza krwi pożarła wszystkie inne potrzeby, chęci, myśli, uczucia; ich opętała chwila obecna tak straszna, ich opoił, obłąkał cuch posoki ludzkiéj. Tam na wysokim balkonie zasiadł sam cezar otoczony milczącym, drżącym a świecistym dworem.

Nad tą całą ogromną przestrzenią rozpięty namiot kobierców haftowanych. Trzymają go na linach a pierścieniach spiżowych maszty, umocowane w owéj wzniosłéj ścianie attyki. Już cały amfiteatr skropiony deszczykiem wód pachnących; na skinienie drewniana podłoga areny rozsuwa się otworami bez liku, a z podziemi i z pod areny, wznosi się na jaw widny cały las zieleniejących się drzew, a na drzewach, na gałęziach rojami siedzą ptaki śpiewające, gadające, to drapieżne, to strojne w pierze barwne, złotem ślśniące. A jak grzmoty piorunne po ławach, po piętrach

huczy przeciągły oklask osłupiałéj radością tłuszczy. Innym razem znowu woda zalewa arenę, byki, krokodyle, hippotamy pluskają się po falach, biją na siebie rogiem i rozszarpują się nawzajem morderczym zębem. To znów wypływają statki pełne gladjatorów uzbrojonych — a w udanych bitwach morskich woda zarumieniła się krwią walczących rannych, umierających. Innym razem znowu pęka otworami arena i z pod ziemi wyskakują klatki żelazne — w nich tygrysy, lwy o palącém krwiożerczém oku.

Innego dnia przez arenę ruszają uroczystym pochodem długie zapaśników pary i stają do walki na zabój, więc przechodząc około loży cesarza wołają: *Morituri te salutant Caesar!* (my mający umrzeć witamy cię cesarzu!). Innego poranku, w środku areny tuli się do siebie blade grono mężów, starców, niewiast i dzieci, oni bez oręża w ręku, bez zbroi a szyszaku — ale oczy ich, ramiona ku niebu wzniesione, a usta ich brzmią śpiewem świętym. Są to chrześcijanie. Nawet w obec straszliwéj śmierci nie chcą ocalić życia swojego wyrzeczeniem się Chrystusa, a oddaniem pokłonu bóstwom pogańskim. Wskazani na pastwę dzikiego zwierza oczekują śmierci. Ich skon jest ich zwycięztwem a tryumfem, ich śmierć we wiekuistości odrodzeniem. Tuż w obec nich przysiadły do ziemi lwy, z ogniem szału w oczach, już, już gotują się do morderczego skoku. Brzmią spokojnie śpiewy męczenników świętych. Ich ciała jeszcze na ziemi, ale ich duch już wznosi się przez niebo rozwarte, przed Boży majestat.

Trwały te widziadła straszliwe a piekielne majaki co mnie męczyły na jasnym jawie niby sen okropny. Obudził mnie z marzeń, wyzwolił z tego świata pełnego okrutnéj katuszy ów krzyż drewniany na arenie.

COLOSSEUM W NOCY.

Jak to bywa powszechnym tutaj zwyczajem i ja wyprawiłem się pewnego wieczora, by oglądać Colosseum w świetle księżycowém. Już noc zapadła gdym stanął w arenie. Cienie potężne grobowym kirem pokryły rozsypiska w koło. A wiecie jak to noc i śmierć i miłość podobne do siebie, bo noc jak śmierć i miłość zasłania niedostatki i winy, łagodzi niepamięcią przebolałe cierpienia. Noc otuliła zwaliska i szczerby i upadłe łuki i sklepy, zgruchotane filary, i sterczące urwiskiem mury — na ich miejscu staje w całości swojego majestatu budowanie ciemne, jakby gród a stolica nocnych marzeń, a rośnie to budowanie ku niebu, rysując na niém zuchwale wspaniałością tchnące kontury. Niebo nocne choć jeszcze bez księżyca zdaje się być jasne, światłe obok tych czarnych piętrzących się mas. Tam u góry po przez arkady, a okna bezkształtne, jakby przez skalne wyłomy wglądają gwiazdki Boże. W koło ciemnota cicha a spokój jak w grobie, i ptaszki ucichły, zasnęły — może i one marzą! — Niekiedy z wysokości spadnie kamyk drobny, lub jęknie, westchnie wietrzyk przelatując po przestrzeniach sklepionych, lub zaszepcą krzewy — same tylko świerszcze tysiącami ukryte wśród ziół, traw i szczelin kamiennych, bez przerwy nucą a nucą jednostajną piosenkę swoję, przyśpiewując nadchodzącéj nocy. W ciemnościach świecą stacje jakby duchy odziane bielą śmiertelną — a krzyż z męką Pańską wskazuje nam w ciemnościach drogę. Im bliżéj byłem krzyża, tém on potężniéj dźwigał się a rósł od ziemi, a gdy stanąłem u jego stóp, on jakby wierzchołkiem tykał nieba a na gwiazdach ramiona rozłożył. Teraz spostrzegłem żeśmy nie sami. U podnóża krzyża klęczał jakiś człowiek w milczeniu nieporuszony. Może on błaga o odpuszczenie winy ciężkiéj, może łaknie pociechy w nieszczęściach, lub pragnie odwrócić jaki straszny nad nim ciążący cios. Byłem kilka razy w Colosseum, a prawie zawsze pod tym krzyżem widziałem modlących się. Rozumiem i czuję tę moc wszechwładną, którą krzyż ten wzywa serca do stóp swoich.

Dziwne, nadzwyczajne uczucie przenikało nas w téj samotności, a w tém państwie pośmiertném ludowładnéj potęgi — a wielkich wspomnień. Napinasz wzrok, by przebić nocne zasłony, bo przy każdym kroku zdaje się, że ci zajdzie w drogę widmo z dawnych wieków i zaiste anibyś się dziwił takiemu zjawieniu. Bo jeżeli gdzie na świecie, te zaiste w tych miejscach sej-

mują duchy z tylu oddawna przebrzmiałych epok dziejowych.

Zwolna doszedłem drugiego końca areny — znowu szepty ciche — znowu jakieś dwie ludzkie postacie spoczywające na głazach — szepty wyraźniejsze — i to podróżni — Francuzi — oni zwykle zapewne jak ich cały lud tak ochoczy, weseli mówni, tutaj przycichli — oczynieni urokiem uroczystym otoczenia.

Rzekłbym, że przez rok cały w zwyczajném życiu nie zrodzi się w duszy tyle myśli, tyle uczuć a obrazów, jak w jednéj nocnéj godzinie tu, na tych miejscach przebytéj. W zwyczajném rozsądkowém, trzeźwém życiu, myśli jak drzewko zwolna rosną w duszy, zwolna wykłuwają się na jaw rozumu obecnego sobie, zwolna rozrastają się w sobie, rozkładają gałęzie, liście a późno dopiero kwitnąc rodzą z siebie hesperyjskie dojrzałe owoce. Tutaj w téj przestrzeni inaczéj się dzieje, bo dumania pomagają, i uczucia rozigrane, i magja napiętéj fantazji, i pamięć i natchnienie, więc myśli jakby czarodziejstwem zrazu wzrosną i okrywają się kwiatem i owocem — a zaledwie jedna strzeli, a już rozwinięta druga, trzecia, i cały ich tłum i cały czarnoksięzki ich gaj. Zaprawdę w takiém otoczeniu duch nasz żyje szybko, spiesznie, bo wielokrotnie spotęgowanym żywotem.

Gdym się już miał do odwrotu — gdy raz się jeszcze zatrzymałem, by okiem przelecieć scenę tak wstrząsającą duszę — księżyc pełném obliczem wznosił się nad amfiteatr — i patrzał tak niewzruszoną twarzą na obecne jego rozwaliska, jak niegdyś obojętnie patrzał na założenie jego węgłów.

Zdaleka po przez długie przestrzenie sklepione wchodu dygoce światełko od latarni zawieszonéj nad żołnierzem francuzkim, stojącym przed Colosseum na samotnéj warcie. To światło prawie czerwone wśród modréj powodzi księżycowéj jasności.

W téj chwili na skrzydłach nocnego wietrzyku dolatują na dobranoc wołania dzwonu dalekiego klasztoru. Te tony dalekie skończyły ten na całe życie pamiętny dla mnie wieczór.

ZAMEK JANOWIECKI.

W pogodny ranek lipcowy 1859 roku, wsiedliśmy po za miasteczkiem Kazimierzem, na prom mający nas przewieźć na lewy brzeg Wisły, na którym w dawném województwie Sandomierskiém, leży Janowiec. W oddali czernieją bory sosnowe, graniczne linje zaledwo dojrzanych okiem równin; prawy brzeg górzysty nieco, ale jakiś smętny i od wapiennego kamienia biały, jak trup, z którego już dawno życie uciekło. A ta Wisła, która niegdyś szkuty zbożem ładowne do spichrzów Kazimierskich spławiała, teraz, w gorące lata miesiące do żeglugi większych statków nie zdatna, uchodzi zdala od brzegu, zostawując za sobą morze piasków, między któremi sączy się jak łez struga.

Skoro nas fale zaczęły kołysać zwolna na swéj wygładzonéj powierzchni, to już nie mieliśmy oczu tylko dla wspaniałego zamku, co zbudowany na wyniosłéj górze, nad całą panuje okolicą, zdając się wichrom i burzom urągać. A tymczasem wichry i burze rok po roku robią nową szczerbę, w tém rozpadającém się siedlisku upadłego możnowładztwa. Smutek rzewny ściska serce i uszanowaniem schyla czoło, bo oto jedna z żywotnych idei, dziś zamarła, błąka się jeszcze wspomnieniem w tych murach zaklęta i szepcze wielkie nauki pogrobowém echem.

Jakiż to ogrom imponujący gmachu tego! Zewnętrzne mury stoją jeszcze całe, a jedna baszta narożna doskonale zachowana, tylko schody do niéj się zapadły. Tu komnaty liczyły się na setki i nie pusto w nich było Firlejom, Tarłom, Lubomirskim. Zamek ten wzniósł i miasteczko za-

łożył Piotr Firlej z Dąbrowicy, wojewoda Ruski za Zygmunta I.

Wdrapaliśmy się na stromą górę, która tylko z jednéj strony ma ślady dawnego wjazdu, a w miarę zbliżania się, wzrastał nasz podziw nad ogromem tych budynków, tworzących wielki czworobok, patrzących na świat dzisiejszy niby otworami trupiéj czaszki, kilkopiętrowemi rzędami bezszybnych okien. Już u wejścia w główną bramę pełną gruzów, przeraża okropne zniszczenie. Dachu ani śladu, wszystko zdarte, zrabowane opustoszone, nagie, jak ołtarz, którego się dotknęła świętokradzka ręka. Próżnoby kto szukał owych wzmiankowanych w opisach ozdób, kolumn, marmurów; pozostały jedynie malowidła na ścianach, bo tych zabrać nie było podobna. Dwa ogromne wewnętrzne podwórza zawalone są rumowiskami, ściany przez rozpadnięte boki pokazują wnętrza spłókanych deszczami mieszkań, z widocznemi jeszcze gdzie niegdzie na murze obrazami. I tu, Szwedzi naznaczyli swe przejście zniszczeniem; zamek, z przyczyny niedostatecznéj załogi, był wzięty i znaczne łupy uwiezione. Z budowy znać ostateczne jego przerobienie za Stanisława Poniatowskiego; przypomina wewnętrzną budowę Krakowskiego zamku na Wawelu, galerjami kilkopiętrowemi, wspartemi na arkadach, które dokoła prawie pierwsze podwórze otaczają. Daléj jest studnia głęboka jak przepaść. Minąwszy studnię, dostrzegliśmy na piętrze resztki kaplicy, z wyobrażeniami świętych na ścianach, lecz już podłoga całkiem zawalona, nie dozwala przystępu. Idąc po pozostałych przy ścianie szczątkach załamanych schodów, doszliśmy z wielkim trudem na drugie piętro najlepiéj zachowanéj baszty. Został tu jeszcze prześliczny narożny pokoik, z malowidłami na ścianach, przedstawiającemi różne bóstwa Olympu. Przypominając sobie dziennik Franciszki Krasińskiéj, zaczęliśmy wnioskować, że to był zapewne ten pokoik, do którego ją wprowadził Książe Lubomirski, a zkąd widok rozległy na zwierzyniec, (dziś już prawie nie istniejący) dozwalał jéj widzieć mieszkanie zbudowane na prędce dla Kurlandzkiego księcia.



Janowiec

Nie jeden monarcha odwiedził w tym zamku możnych jego właścicieli, a August II. zjeżdżał się tu z posłem rossyjskim Dołgorukim.

Zaczęliśmy zwolna zstępować z góry. Jakiż wspaniały widok ogarniały oczy nasze. W oddali siniały naznaczone zębatemi linjami Tatrów szczyty, tém widoczniejsze, że słońce chyliło się ku zachodowi. Od jego promieni srebrzyła się Wisła w szerokiéj oprawie piasków nadbrzeżnych. Za

piaskami, linją niesymetryczną, ale długo wyciągniętą, sterczały białe, niby szkielety na pustyni, owe sławne olbrzymie spichrze miasta Kazimierza. Na pochyłości wapiennego wzgórza fara starożytna, wraz z miasteczkiem u dołu. Wzgórze zaś, uwieńczone rozległemi zwaliskami Kazimierzowskiego zamku, po nad któremi wysoka, smukła baszta, ku powietrznym wzbija się błękitom i blaskiem swéj białości w oddaleniu żeglarza kieruje. Te białe massy opustoszałych i bez znaczenia już murów, poprzerzynane zarosłemi wąwozami, wyglądały jak podarta z księgi dziejów karta.

Z téj strony Wisły, na prawo, u stóp naszych wznosiła się wysoka wieża kościoła Janowieckiego, otoczonego gromadką domostw miasteczka. Tam więc skierowaliśmy kroki nasze, zaczynając zwiedzenie kościoła od zstąpienia do grobów które suche, nie cuchnące, nie obudzają najmniejszego fizycznego wstrętu.

Wyraźne tu ślady plondrowania i rabunku, zapewne ze szwedzkich czasów, bo żadnéj blachy z napisem, żadnéj karabelli, lub jakich trwałych ozdób, z któremi zwykle chowano nieboszczyków, ani śladu.

Ciała powyrzucane z trumien leżą gromadnie jedne na drugich. A raczéj to już tylko kościotrupy, bo ciała niebalsamowane w proch się rozsypały, odzież tylko, lubo wszystka ma tę szarą barwę grobom właściwą, zachowała się dobrze. Rozpoznać można krój szat kobiecych, koronki związane wstążkami u rękawów i t. p. Wnioskowaliśmy z proboszczem, że dwie trumny czworograniaste, nieużywanego dziś kształtu, z pozostałemi jeszcze szmatami aksamitu i ozdób, zawierały zwłoki Tarłów, którzy gmach ten, przez czas jakiś w ręku Aryanów zostający, katolickiemu kościołowi powrócili. Późniejsi dziedzice Lubomirscy mieli swoje groby w Wiśniczu, Janowiec dostał się bowiem Jerzemu Lubomirskiemu w posagu za drugą żoną Tarłówną.

Oglądanie tych podziemi nie długo nam czasu zajęło. Za wyjściem pokazał nam proboszcz miejscowy, w bocznym ołtarzu, ukrzyżowanego Chrystusa Pana, który nam się wydał starannie wyrobionym z drzewa, a jest z płótna kunsztownie wypchany i pomalowany tak, że nigdzie szwu dojrzéć nie można. Nie wiadomo co za szczególny w swoim rodzaju artysta tego dzieła dokonał.

Przy wielkim ołtarzu na lewo, jest pomnik z marmuru, (wyobrażający dwie leżące postacie), owego Stanisława Tarły, co ten kościół katolikom przywrócił i spoczął wraz z żoną w tutejszych grobach, roku 1599. Po téj saméj stronie jest także kamień z napisem, który położył pleban Makarowicz: *wdzięczny za udarowanie kościoła osobliwemi ozdobami*, Mikołajowi Junoszy Piaskowskiemu, staroście Taraszczańskiemu, zmarłemu r. 1803, ostatniemu Janowca dziedzicowi, tu pochowanemu, a który jeszcze w zamku przemieszkiwał. Piaskowski (powiada napis grobowy): *dla przyjaciół otwarty, dla sług ojciec nie pan, dla sierot hojny aż do zapomnienia o sobie, po kilkoletniém odłączeniu się od publiczności życia dokonał.* Znaliśmy osobę co pamiętała jeszcze tę postać, najżywsze zajęcie obudzającą.

Starosta mieszkał w zamku, ale ten już był za dużym dla niego, bo majątek zniszczony hojnością i poświęceniami szedł na pastwę wierzycielom. Żona wyprzedziła go znacznie na wieczności drodze, a wszystko koło osamotnionego, bezdzietnego dziedzica trąciło ruiną, wszystko rozpadało się, niszczało! On zaś, uczyniwszy ślub, że nie wyjdzie z mieszkania swego, aż się spełnią jego zawiedzione nadzieje, unikał widoku ludzi i zabawiał się karmieniem okruchami chleba myszy, które zaczęły bezkarnie gospodarować po wyludnionym zamku.

Czasem tylko ciekawi przez szyby dolnych okien dostrzegli wysokiego chudego starca, z tęskną twarzą, z siwym włosem w nieładzie, w białym kitlu płóciennym, przechadzającego się w ponurém milczeniu po samotnych komnatach. Tak przeżywszy lat kilka, ten biedny melancholik legł w trumnie, którą z dawna miał dla siebie przygotowaną i w niéj skonał, polecając Bogu duszę swoją, wraz z tém co miał najdroższego na ziemi. Pleban przyjaciel, pochował jego zwłoki i z własnéj kieszeni kamień położył.

Majątek rozdrobnił się między wierzycielami, z pysznego zamku zdarto dach

kruszcowy, a sam gmach pozostał jak grób milczący, z którego duch przeszłości uleciał na zawsze!..

Jednak majestat tego grobowego milczenia, przemawia uroczystemi wrażeniami do duszy i odrywając od powszedniości codziennego żywota, wskazuje te szlaki olbrzymie, któremi prowadzona myślą Bożą, ukazuje się ludzkość w swym dziejowym rozwoju.

J. Śmigielska.

KAPITAN OKRĘTU SĘP.

POWIEŚĆ Z ANGIELSKIEGO MISS. M. E. BRADDON.

(Dalszy ciąg.)

ROZDZIAŁ CZWARTY

w którym kapitan Duke pokazuje się dwoistym.

Darrell Markham nie umarł skutkiem wzruszenia, przychodził jednakże tak powoli do zdrowia, że śnieg okrył płaszczyznę rozciągającą się przed oknami Czarnego Niedźwiedzia, zanim się zagoiły jego rany i zanim odzyskał dawne siły. Była to długa i ciężka choroba, a poczciwa Sara dozorując jak syna swe ulubione dziecię (tak bowiem zwała Darrell'a) o mało nie rozchorowała się sama. Samuel zmuszony był jak złodziej suwać się po cichu boso po korytarzach. Podróżnych wyprawiano w najodleglejszy zakątek oberży, aby głosy ich niedochodziły uszu chorego. Grobowe milczenie panowało pod Czarnym Niedźwiedziem, aż do dnia trzykroć szczęśliwego, w którym doktor Jordan zapewnił, że chory wyszedł z niebezpieczeństwa. Sara z wielkiéj radości wytoczyła beczkę najlepszego piwa i częstowała nim wszystkich przejezdnych, zatrzymujących się przed oberżą aby zapytać o zdrowie Darrell'a. Kapitan Jerzy Duke podróżował na wybrzeżach Hiszpanji i wrócił właśnie do Compton, w chwili wyzdrowienia Markhama. Wszedłszy do domu zastał jak zazwyczaj Emilję siedzącą przy kominkowym ogniu i zajętą czytaniem powieści. Uścisкał ją czule niezważając że odpychała go z lekkiém drżeniem. Był prawdziwie w dobrym humorze i wyglądał wspaniale w swym zniszczonym od słoty mundurze, który różnił się zawsze nieco od munduru marynarki królewskiéj, jakkolwiek ta różnica nie raziła oczu.

— Przywożę do domu mnóstwo wybornych rzeczy mistress Milly, rzekł siadając naprzeciw niéj, mam pakę pomarańcz i beczkę wina hiszpańskiego, jest to nektar czysty jak złoto i równie kosztowny jak ten metal. Mam także piękne klejnoty, które przyozdobią jeszcze twą śliczną twarzyczkę. To mówiąc wydobył z pugilaresu mnóstwo drobiazgów złotych, w misterne i dziwaczne wyrabianych wzory. Klejnoty te nasadzone drogiemi kamieniami różnéj barwy, błyszczały jak gwiazdy na dębowym stole. Emilja wymówiła ciche słowa podzięki, lecz zarumieniła się pomyślawszy jak małą przywiązywała cenę do tego daru, ceniąc jedynie skarb który nigdy niemógł być jéj własnością.... skarb miłości wiernéj i stałéj Darrell'a. Kapitan pod ten czas wlepił swe wielkie czarne oczy w żonę i rzekł jakoby odgadując jéj myśli.

— Ale ale, jakże się miewa twój piękny krewny, wyzdrowiał czy umarł? Blask jakiś okrutny zaświecił w jego oczach, skoro zauważał drżenie Emilji w chwili gdy wymawiał wyraz *umarł*. Mamy pomiędzy sobą zły rachunek do załatwienia mościa pani, pomyślał.

— Darrell jest zdrowszy, już nawet prawie zdrów zupełnie, odparła łagodnie Emilja.

— Czyś go widziała?

— Niebyłam tam od chwili w któréj mię zastałeś w jego pokoju, wymawiając te słowa spojrzała na męża spokojnie, jak gdyby mu powiedzieć chciała: mam czyste sumienie, niepotrzebuję drżeć ani rumienić się.

Miała rzeczywiście czyste sumienie, nieraz bowiem mistress Pecker odwiedzała ją mówiąc:

— Twój krewny jest dziś bardzo smutny miss Emiljo, chodź ze mną posiedzieć z jakie pół godziny przy jego łóżku, to go rozweseli. Złe języki niebędą mogły nic powiedzieć, skoro stara Sally będzie z tobą.

Ale Emilja odpowiadała zawsze:

— Niepójdę kochana Saro, gdybym go odwiedzała bylibyśmy przez to nieszczęśliwsi oboje, wolę więc pozostać w domu.

Nikt jednakże niewiedział o tém że nieraz późno w noc, skoro już wszystkie światła w Compton pogasły i służąca jéj spać się położyła, nieugięta Emilja wychodziła cichaczem z domu i zawinięta w ciemny płaszcz, stawała po kilka minut mimo deszczu i śniegu, przed oknem pokoju w którym spoczywał Darrell, aby przypatrywać się blademu płomykowi lampy która tam błyszczała. Zdarzyło się raz że Sara uchyliła okno a Emilja słyszała jak Markham zapytywał czy śnieg pada?

Rozpłakała się na dźwięk tego słabego głosu, sądząc może że ją dolatuje po raz ostatni.

Ludzie okrętowi przynieśli, z Marley do Compton beczkę wina Xérès, téj saméj nocy w któréj powrócił kapitan. Wypiwszy pół butelki złotego płynu, Jerzy Duke począł namawiać żonę, aby go choć skosztowała, daremne jednakże były jego przedstawienia, bo Emilja przekładała kwaskowaty napój sporządzany przez Sarę, nad wszystkie najdoskonalsze płyny całego półwyspu. Nazajutrz rano po powrocie Jerzego Duke, zjawiła się straż z Compton z rozkazem ujęcia go, jako obwinionego o napad gwałtowny i kradzież na gościńcu królewskim. Blady z gniewu który w sobie tłumił, kapitan przechadzał się wielkiemi krokami po pokoju żony.

— Powiedz mi mistress Emiljo, zapytał, kto namówił twego ślicznego kuzyna, aby probował wciągnąć na szubienicę niewinnego człowieka, w celu uczynienia cię wdową, bo zdaje mi się że tak jest nie inaczéj. powiedz mi co to wszystko znaczy?

— Czyż to być może? zawołała z przerażeniem Emilja.

— Czy nie pamiętasz że pan Darrell utrzymywał że ja go zraniłem?

— Pamiętam, lecz sądziłam wtedy że mówił w gorączce i dziś jeszcze zdaje mi się że to złudzenie.

— Nie sądziłem abyś była na mnie tyle łaskawą, szczęściem że z łatwością wyplątać się mogę z téj głupiéj sprawy, nie mniéj przeto wdzięczen jestem panu Darrell'owi Markham za jego życzliwość.

Gdy zaprowadzono kapitana do izby sądowéj, zastał tam Darrell'a bladego i wynędzniałego skutkiem długiéj choroby.

— Dziękuje ci panie Markham za twą przyjacielską usługę, rzekł krzyżując ręce na piersiach, zdaje mi się że wkrótce mieć będziemy sposobność załatwienia naszego rachunku.

Urzędnik sądowy był niezmiernie zakłopotany całą tą sprawą, gdyż jakkolwiek kapitan był mało znany w Compton, zdawało się jednak niepodobném do prawdy, aby mąż córki starego Markham, mógł być winnym zbrodni którą mu zarzucano.

Darrell podał swe zaskarżenie w sposób bardzo jasny i prosty. Powiedział jako wyjechawszy do Marley z oberży pod Czarnym Niedźwiedziem, o trzy mile od Compton został napastowany przez człowieka, w którym gotów był przysiądz że poznaje kapitana; człowiek ten zażądał od niego pieniędzy i zegarka, chciał mu odpowiedzieć strzałem z pistoletu, lecz kapitan Duke wystrzelił jeszcze prędzéj, rękę mu skaleczył i zrzucił go z konia, upadł wtedy omdlały i nic już nie pamiętał, prócz chwili w któréj przyszedłszy do zmysłów pod Czarnym Niedźwiedziem, poznał swego zabójcę pomiędzy otaczającemi.

Sędzia zakaszlał z pewną wątpliwością w głosie.

— Zdarzały się u nas często pomyłki co do tożsamości osób, wyrzekł, czy mógłbyś przysiądz panie Markham, że człowiekiem który cię napadł jest kapitan Duke?

— Jeżeli człowiek który stoi obecnie przedemną jest kapitanem Duke, przysięgnę wtedy że on a nie inny okradł mię.

— Czy osoby które ci niosły wówczas pomoc napotkały zarazem twego konia?

— Nie, konia już nie było przy mnie.

— A mógłżebyś go poznać gdyby się znalazł.

— Jakto? czybym poznał mego dobrego Balmerina? o! niewątpliwie odnalazłbym go wśród tysiąca innych koni!

— To dobrze, rzekł sędzia, ten koń może bardzo rozjaśnić sprawę. Zadumał się potém tak głęboko nad owém *rozjaśnieniem*, że woźny pozwolił sobie z wielkiém uszanowaniem, pociągnąć go za rękaw i szepnąć na ucho aby mówił daléj.

— Ha, pomruknął, tak to pewno... i długo niemógł dokończyć zaczętego zdania, po chwili dopiero ozwał się znów urzędowym głosem: Panie kapitanie Duke cóż przytaczasz na twą obronę?

— Nic prawie, odrzekł kapitan powoli, chciałbym tylko wpierw zawezwać tu pana Samuela Pecker, oberżystę z pod Czarnego Niedźwiedzia.

Sędzia naradził się po cichu z woźnym, a potém wyrzekł głośno:

— Proszę przyprowadzić tutaj rzeczonego Samuela Pecker.

Podczas gdy ktoś z obecnych poszedł przywołać Samuela, zacny sędzia zadrzemał trochę pochylony nad gazetą, woźny temperował pióro, Darrell zaś i kapitan spoglądali na siebie upornie, w oczach ostatniego błyszczał jakiś ponury ogień.

Pan Pecker stawił się wkrótce na wezwanie sędziego blady i rozczochrany. Przeczuwał on że jeżeli uniknie szubienicy tego poranku, to z pewnością wycierpi stokroć groźniejsze moralne katusze, zadane przez swą małżonkę. Niemógł bowiem wyobrazić sobie aby go wezwano po co innego do sądu, jak aby go obwinić o jaką straszną zbrodnię, w któréj musiał mieć udział mimo swéj wiedzy. Odetchnął dopiero swobodnie, gdy mu powiedziano że staje jako świadek.

— Cóż nam powiesz teraz kapitanie Duke? zapytał sędzia.

— Proszę abyście raczyli zadać tylko trzy zapytania panu Darrell'owi Markham.

Sędzia spojrzał na woźnego, a gdy ten skinął głową przychylnie, przystał również skinieniem na żądanie kapitana.

— Raczcie zapytać pana Markham, o któréj godzinie został napadnięty.

Zanim urzędnik otworzył usta, Darrell zaczął mówić:

— Mogę odpowiedzieć na to pytanie z wszelką akuratnością, bo wiatr dął gwałtownie od strony Compton i słyszałem wyraźnie, jak trzy kwandranse na ósmą wybiły na miejskim zegarze, w chwili gdy nieznajomy człowiek zbliżał się do mnie.

— W chwili gdy zbliżałem się do ciebie? podchwycił kapitan.

— Tak jest w chwili gdy zbliżałeś się do mnie.

— Panie Samuelu Pecker bądź łaskaw powiedzieć, gdzie byłem o trzy kwandranse na ósmą w wieczór dnia 27 października?

— Byłeś wtedy w gościnnéj izbie pod Czarnym Niedźwiedziem kapitanie, odparł Samuel oddychając pośpiesznie, zapytałeś mię o godzinę, a ja poszedłem zaraz na górę zobaczyć ją na starym zegarze mego ojca, była wtedy ósma bez dziesięciu minut, nie mniéj ni więcéj bo ten zegar idzie doskonale.

— Wszak prawda że były wtedy u was inne osoby, które słyszały jak zapytywałem o godzinę.

— Prawda święta, osoby te widziały nawet jak nastawiałeś twój zegarek kapitanie, według mego starego zegara. Wiem z pewnością że to nie wy okradliście pana Darrell'a, wiem nawet kto jest sprawcą téj zbrodni....

Słowa te uczyniły głębokie wrażenie w przybytku sprawiedliwości.

— Jakto, zawołał sędzia, wiedziałeś o tém i nie zawiadomiłeś nas? to źle, to bardzo źle z twéj strony panie Pecker.

Nieszczęśliwy Samuel uczuł się mocno skompromitowanym, mimo to wyrzekł jeszcze:

— Kapitan Duke jest równie niewinnym jak ja, to tylko tamten mógł uczynić....

— Tamten?... co za tamten?.....

— Ten który zatrzymał się przed Czarnym Niedźwiedziem, pytając o drogę do Marley.

Wszelkie zapytania nie mogły wymódz nic więcéj na Samuelu, powtarzał upornie że człowiek tak podobny do kapitana jak dwie krople wody, zatrzymał się przed Czarnym Niedźwiedziem pytając o drogę

do Marley, że nie tylko on, lecz Dżon Homerton wziął tego człowieka za pana Duke i prosił w końcu aby wezwano kowala, dla świadczenia o prawdzie tego co wyrzekł.

Przywołany Homerton potwierdził opowiadanie Peckera, dodając że pewnym jest jako widział kapitana Duke zatrzymującego się przed oberżą, podczas gdy stał tamże wraz z Samuelem i Darrell'em Markham. Ta *dwoistość* osoby kapitana była niepodobną do zrozumienia, gdyż w kwandrans po odjeździe podróżnego do Marley, Jerzy Duke zjawił się w oberży, przybywając z zupełnie innéj strony.

Ani sędzia, ani woźny, nie mogli zbadać tajemnicy, przechodzącéj pojęcie wszystkich dygnitarzy prawnych w Compton, gdzie dotąd nic podobnego nie miało miejsca.

Gdyby n. p. James Dobbs rzucił się na dzierżawcę Hobbs'a, skutkiem jakiegoś nieporozumienia w kwestji zboża lub rzepy, sprawa byłaby łatwą do rozsądzenia, według sławnéj sprawy Dżon'a przeciw Smith'owi, lecz sprawa Darrell'a z kapitanem, nieprzedstawiała nic podobnego w archiwach municypalnych Compton. Podczas gdy urzędnik i jego pomocnik naradzali się po cichu nie wiedząc co począć, kapitan sam wynalazł sposób wyzwolenia się od nich.

— Sądzę że obwinienie moje upada samo z siebie, wyrzekł.

Sędzia pochwycił skwapliwie okazję pozbycia się kłopotliwéj sprawy.

— Tak rzeczywiście, obwinienie upada samo z siebie, rzekł poważnie, chciałem to sam powiedzieć kapitanie Duke, uprzedziłeś myśl moją, niebędziemy cię zatrzymywać dłużéj, opuścisz tę salę z równie dobrém imieniem jak pierwéj; przykro mi panie Markham, że cały ten wypadek okryty tak głęboką tajemnicą, zdaje się że zachodzi omyłka co do tożsamości osoby, jest to okoliczność bardzo trudna dla prawników.... powtarzam jeszcze że uważam stratę konia za przedmiot... za przedmiot bardzo ważny.....

Darrell jednocześnie z kapitanem opuszczał izbę sądową.

— Będziemy mieć z sobą maleńki porachunek do załatwienia panie Markham, szepnął mu na ucho Jerzy Duke gdy stanęli w progu.

— Nie będę się bił z rozbójnikiem, odparł z oburzeniem Darrell.

— Jak to.... więc śmiesz jeszcze utrzymywać?...

— Tak jest, śmiem mówić że nie wierzę bynajmniéj bajce o Jerzym Duke i jego sobowtórze. Jestem najmocniéj przekonany że pan dowiodłeś dwoistości swéj osoby, jakimś figlem zrobionym z zegarem pod Czarnym Niedźwiedziem i że jesteś człowiekiem który do mnie strzelił.

— Będziesz ukaranym za to, pomruknął zgrzytając zębami kapitan, będziesz dwukrotnie ukarany za każde zuchwałe słowo które teraz wyrzekłeś Darrell'u Markham, a jeszcze nie będę się czuł dość pomszczonym w méj zniewadze.

Wyrzekłszy to, spojrzał groźnie na krewnego żony i pobiegł spiesznie do domu gdzie Emilja z najżywszym niepokojem, oczekiwała rozwiązania całéj sprawy. Darrel Markham wyjechał dyliżansem z Compton tegoż samego wieczora. Był uboższym jeszcze niż pierwéj, straciwszy pieniądze i konia, lecz mimo to miał zamiar szukać szczęścia w Londynie, gdzie serca ludzkie są zimne i twarde jak głazy.

(D. c. n.)

O UBIORACH.

W magazynie dawniéj Szlenkera, dziś zaś pana Penkali równie jak przed tém, gust najwykwintniejszy zadowolnić może wymagania swoje. Oglądałyśmy tam liczny zbiór okryć różnego rodzaju które opiszemy czytelniczkom *Kółka*. Paltociki zwróciły najpierw uwagę naszą. Niektóre z nich dla oryginalności swójéj, powinny być noszone jedynie przez młode osoby u wód lub na wsi, w mieście bowiem za nadto na kostiumy zakrawają jak n. p. paletocik

jasny granatowy, ze złocistemi guzami na których godła górnicze z koroną u wierzchu. lub takiż sam popielaty z guzikami srebrnemi. Oba były podszyte jedwabną materią, pierwszy 17— drugi zaś 13 — rs. kosztował. Śliczny był wcięty do stanu paltocik jasnego koloru hawanna, z porcelanowemi okrągłemi guziczkami koloru wielkich morskich muszli, lub też czarny jedwabny wolno puszczony, zwany *coup de vent*, z przyczyny że ma okrągłą pelerynkę, zarzuconą na lewe ramię i przypiętą pękiem czarnych kokard, od których spadają cztery końce różnéj długości, na dwa palce szerokie i zakończone kwastami. Takie pelerynki zdobiły także gładkie korcikowe burnusy, z których prawdziwie trudno wybór zrobić, tak wszystkie gustowne i niezbyt drogie, są bowiem od złp. stu bardzo ładne, późniéj zaś mają sprowadzić znacznie jeszcze tańsze. Beduiny walczą niby o pierwszeństwo z innemi okryciami jaskrawością kolorów swoich, są bowiem z materjałów tak nazwanych perskich w różnobarwne pasy, lub też z m ękkich wełnianych jasnych tkanin. Niektóre jednakże są całkiem jednostajnego koloru i mają tylko u kapturów jaskrawe kutasy, albo dokoła obszycie. Widziałyśmy taką okrywkę jasno popielatą. z wrabianym szlakiem ze szkockiéj jedwabnéj wstążki. Do okryć zaliczyć trzeba także śliczne kaftaniki właściwe jedynie po domu; jeden z nich był pąsowy z czarném wyszyciem, drugi zaś biały z delikatnego lnianego wyrobu, który się pierze jak nam zaręczono, oblamówkę miał czarną, guziki zaś porcelanowe cieniowane jak muszle. Czarne jedwabne płaszczyki i paletoty zawsze będą używane. P. Penkala ma ich znaczny zapas w rozmaitych cenach poczynając od złp. stu. Te które są po rs. 30 i 35 są nietylko z cięższéj materji, lecz zdobne gipiurą pasmanterją i grelotkami zlawy. Mantyle czarne jedwabne także noszone będą. Z tych które oglądałyśmy jedna miała kształt rotondy podłużonéj na przodzie końcami. druga zaś dawno już znany fason mantylki szalowéj. Gotowe suknie od 27 do 33 rs. były z fularu w jednostajnych kolorach, u dołu i kaftaników zdobne haftem szydełkowym, z jedwabiu w tymże samym kolorze. Fulary na łokcie gładkie i w rzuciki po złp. 8 i 9. Muślinki po złp. 3 i gr. 10, żaknoty po 2 i gr. 20. Najmodniejsze w desenie kostkowe koloru havanna, bareże zaś na tle czarném lub popielatém w prążki złotego koloru albo szkockie, łokieć od 5 do 6 złp.

Z wełnianych wyrobów oprócz dawniéj znanych *Popelin*, *Moherów* i *Alpacca* są gładkie w dzikich kolorach bareże *mozambique* szerokie łokieć, po złp. 3, ostre i cienkie tejże szerokości *Taffetas* po złp. 5 gr. 15 gładkie i prążkowane, grubsze i rzadsze nieco gładkie *Chally* łokieć również szerokie, po złp. 3 gr. 10 Na dzikiém tle kropkowane różnokolorowo *Diamantin* łokieć i pół szerokie po złp. 11, téjże szerokości po złp. 6 gr. 20 gładkie *Florentine*, cieniuchne ostre i świecące, w gładkich jasno dzikich kolorach *Lama* półtora łokcia szerokie, po złp. 8 łokieć, a wreście *Coutil* prążkowane i kratkowane po złp. 4 i gr. 15, łokieć i 3 ćwierci szeroki, cienki ostry wyrób w rodzaju *poil de chèvre*.

Z nowości u pani Włodkowskiéj oglądałyśmy chustki gładkie cienkie wełniane, szkockim szlakiem otoczone, lub też zarabiane całe na wzór prawdziwych kaszmirowych szali; niektóre z nich były bardzo ładne, kosztowały od złp. 50 do 66 gr. 20. Widziałyśmy także weloniki oszyte sznelową czarną lub kolorową frendzlą po rs. 2 i kapelusze zwane kaszkiecikami z przyczyny podobieństwa do męzkich kaszkietów. Przyczepia się do nich welonik *masque*, przedłużony po bokach w szerokie okrągłe końce, które się wiążą na kokardę z tyłu głowy. Kapelusz taki razem z welonikiem kosztuje rs. 12 i jest wielką nowością, lecz wedle naszego zdania nie dla każdego przystępną, gdyż wszelkie ubrania głowy nie przysłaniające nic twarzy w powozie tylko uchodzą, na ulicy zaś zawsze trochę niestosownie wyglądają.

Fulary gładkie i w rzucik mają być w tym roku bardzo używane; wyborowych gatunków cena u p. Włodkowskiego dochod i do 180 złp. za sztuczkę. Materje wełniane pod najrozmaitszemi nadeszły tam imionami. Najtańsza z nich tak zwana *cretonne*, bo dubeltowéj szerokości zaledwie 3 złp. gr 10 łokieć kosztuje. Jest mohair już znany z przeszłego roku, jest *pacha*, *écossais foulard de Bassora* i t. p. alpagi i popeliny w rozmaitych gatunkach i cenie.

W okryciach powtarza się zawsze z małemi odmianami krój znany. Krótkie paletoty, duże burnusy, beduiny, talmy, z różnych materjałów; szkockie okrycia są bardzo w modzie w Paryżu. W magazynie p. Włodkowskiego będą wkrótce wiosenne okrycia w dzikich kolorach naszywane u brzegów prążkami sznureczków różnokolorowych po cenie nader przystępnéj 80 złotych. Są też tam i inne wykwintne białe z niebieskiém ubraniem, są jasno popielate z amarantem, lecz elegancja z jaką są wykonane, oraz gatunek materjału i ozdób są powodem że też kosztują więcéj.

Czepeczków robią wiele pod brodą wiązanych. chociaż i tak zwane *chłopki* wcale nie zarzucone i mogą być zawsze strojniejsze właśnie przez to, że bardziéj wieńczą głowę aniżeli ją okrywają. Wielki zapas wstążek szkockich mo-

gących być użytych zarówno do czepeczków jak do kapeluszy słomkowych, oglądałyśmy u pani Cronier po cenie od 2 do 3 złp. Z parasolek najwięcéj dopiero wyszły na jaw większe, zwane *en tout cas* z przyczyny że deszcze przeplatają dosyć często wiosenną pogodę.

Do magazynu pana Thonnes'a nadszedł znaczny zapas mankietów i kołnierzyków płóciennych z kolorowém naszyciem. Kołnierzyki są bardzo wązkie, proste lub wykładane w rodzaju tego którego fason podajemy na tablicy naszéj pod Nem 15, mankiety zaś wszystkie fasonu pod Nem 42, z różnicą że niektóre z nich na guziczki spinane. Naszycie kolorowe składa się na kołnierzyku z jednego paska na pół cala szerokości żaknotu lilla, hawanna, lub karmazynowego, przystebnowanego po obu stronach bawełną tegoż koloru w pośrodku kołnierzyka, lub nieco opodal od brzegu. Na mankietach są zwyczajnie trzy podobne paski w równéj od siebie odległości. Kołnierzyk taki wraz z mankietami kosztuje złp. dziesięć, są także podobne garnitury po téj saméj cenie haftowane bawełną kolorową. Nadeszły tam również skórzane szwajcarskie paski ze stalowemi grelotkami po trzy ruble i parasolki w różnych kolorach mniejsze znacznie od tak zwanych *en tout cas* po rs. 8 i więcéj, stosownie do pokrycia. Sukien gotowych, spódnic kolorowych i letnich korcikowych okryć, przysposobiono wiele w tymże magazynie, z tych ostatnich podobały nam się burnusy popielate z popielatém wyszyciem po rs. 15 — oraz takież paletociki po rs. 13.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Ner 1. Połowa spódniczki sukienki dla małego chłopczyka.
„ 2. Przód stanika.
„ 3. Boczek.
„ 4. Plecki.
„ 5. Wyłożenie.
„ 6. Rękawek.
„ 7. Figura całéj sukienki.
„ 8. Chusteczka muślinowa szerokiém dzierganiem fasonu zwanego *Senorita*. Końce zakładają się i wiążą na plecach w kokardę. Dla braku miejsca koniec jeden przedzielony, łączy się w miejscu oznaczoném literami.
Ner 9. i 10. Figura całéj chusteczki z przodu i z tyłu.
„ 11. Suknia z paltotem, obłożenie, w odmiennym kolorze.
„ 12. Paltocik tegoż koloru co suknia.
„ 13. Burnus zwany beduiński.
„ 14. Całość szmizetki.
„ 15. Połowa kołnierzyka do téj szmizetki.
„ 16 Całość rękawka.
„ 17. Klapka do tego rękawka.
„ 18. — do 32. — Cyfry.
„ 33. Plecy do białego muślinowego lub żaknotowego stanika. Trzeba najpierw cały materjał ułożyć w zakładki i zaprasować, a z tak przygotowanego wykrawać podług formy.
„ 34. Boki od przodu.
„ 35. Połowa przodu naśladująca kamizelkę.
„ 36. Całość stanika. Wygarnirowanie falbanką lub koronką. Rękawy kroją się proste i szerokie, powinny być marszczone u góry, u ręki i przemarszczone w pośrodku, aby tworzyły dwie buffy.
„ 37. Szale ułożone w kształcie burnusów bez krajania tylko fastrygowane i marszczone w pośrodku.
„ 38. Sukienka dla małéj dziewczynki z przodu i z tyłu.
„ 39. — 40 — 41. Suknie ubrane materją odmiennego koloru,
„ 42. Mankiet płócienny do rękawa, z obu stron dziurki wybijane jak u gorsetów i sznurowane jedwabną kolorową tasiemeczką.
„ 43. Szlak do alby, lub do obrusa kościelnego, aplikacja muślinu na tiulu.
„ 44. Szlarka atłaskiem.
Od Nru 45. — do końca Cyfry i imiona.




Moine Imp. r. St Louis en l'Ile, 90 Paris 1100

KÓŁKO DOMOWE

Lipiec 1864

KÓŁKO DOMOWE

na Miesiąc Czerwiec 1864 r.




№ 45.
Felicia
№ 48
Sabina
№ 46.
№ 44.